M. KONOPNICKA

LISTY
I POGADANKI

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

LISTY I POGADANKI

http://rcin.org.pl

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

http://rcin.org.pl

Biernacki Mikołaj

M. RODOĆ

LISTY I POGADANKI

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. [illegible]owy Świat Nr 72
00-[illegible]0 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW. — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1902

http://rcin.org.pl

2 90.
http://rcin.org.pl

OD WYDAWCY.

»Listy i Pogadanki« Rodocia, które w tym tomiku wydajemy, były drukowane w Kuryerze Warszawskim w latach od 1891 do 1895 r. i cieszyły się wielką popularnością. Sądzimy przeto, że i dziś zostaną tak samo mile przez publiczność przyjęte, tembardziej, że pióro, co je kreśliło, spoczęło na zawsze, a może nie prędko znajdzie się taki, który posiadać będzie wszystkie zalety Rodocia: jego humor, werwę, dowcip cięty, a wolny od jadu i żółci.

Rodoć jest dotąd niezrównany w swoich krótkich Satyrach i Fraszkach, w których chłostał wady społeczeństwa, a nie dotykał nigdy osobistości. Jeżeli można powiedzieć o kim. to najprędzej o nim: że gdy gryzł, to »gryzł sercem«.

W »Listach i Pogadankach« rzadko bardzo poruszał Rodoć sprawy okolicznościowe, dlatego mają one dziś tę samą wartość, jak przed kilku laty.

http://rcin.org.pl

Jest w nich wiele myśli głębszych, które nie przeżyją się nigdy.

Puszczamy je więc w świat z przekonaniem, że tem przysłużymy się czytającej publiczności.

1902.

http://rcin.org.pl

SŁOWO WSTĘPNE.

—

Jedna z bujnych odrośli krytycznego drzewa,
Gniewa się na mnie za to, że mnie nic nie gniewa.
»Jakto« woła, »satyryk, co ma chłostać zbrodnie,
Nie zżyma się, nie grozi, uśmiecha łagodnie,
Nie zna żółci, ni jadu, ani nienawiści?
Jakież nam ten śmiech jego przynosi korzyści?«
. . . . . .
Może ma rację; ale co do mnie, tom długo
Myślał nad tem, czy wolno mi walczyć maczugą?
Myślałem i patrzyłem na świat — i powoli
Błądząc po krętej ścieżce doli i niedoli,
Widziałem ludzkie nędze i ludzkie uciechy;
Płacz i śmiech, cień i światło, i cnoty i grzechy...
I widziałem jak sprawy społecznej kajdany
Pętają wolę ludzką; jak bólem szarpany,
W walce z krzywdą, niepomny jako jest moc Boża,
Umysł ludzki bezwiednie wkracza na bezdroża...
I pytałem, czy słaba istota człowiecza,
Ma wobec tego prawo przekleństwa i miecza?

http://rcin.org.pl

Pytałem i milczałem; łzą mi zaszło oko,
I zapadłem w zadumę i ciemność głęboką,
I zapragnąłem tylko być w zgodzie z sumieniem.
. . . . . .
Sam nie bez skazy, rzucać nie będę kamieniem.
Dlatego to nienawiść nie jest w moim planie,
Dlatego nie przeklinam nigdy i nie ranię.
Co widzę, mówię, prawdę. Jak strażnik na wieży,
Wołam: »Baczność!«... a reszta do mnie nie należy.

M. Rodoć.

http://rcin.org.pl

LISTY DO REDAKTORA

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

Wielce Jaśnie Wielmożny Panie Redaktorze!
Ty, który w helikońsko-parnaskiej oborze
Jesteś arcy-pasterzem i arcy-prorokiem,
Bądź pozdrowion i sławion, żeś łaskawem okiem
Raczył ze sfer, gdzie krążą bogi i tytany,
Spojrzeć na marny pyłek niżej podpisany.
Bardzo mi to przyjemnie, miło i tam dalej...
Czy pamiętasz tę chwilę, gdyśmy się spotkali?
Ja, przed twojem obliczem, drżący stałem skromnie,
Coś ty śpiewał w swej duszy, nie wiem, lecz co [do mnie,
Bardzoś mi się podobał; a gdy w pogadance,
Jakąśmy między sobą odbyli naprędce,
Zażądałeś odemnie w sposób uroczysty,
Bym ze Lwowa, do ciebie, chciał pisywać listy,
Całkiem porządny człowiek, zaraz pomyślałem.
Co? porządny? — wspaniały... umysłem i ciałem!
Tak oddawszy należny hołd twojej osobie,
Maleńką propozycyę w tem miejscu ci zrobię:
Oto, gdy prócz szacunku, kocham Ciebie czule,

http://rcin.org.pl

Pozwól się tytułować, tu, na tej bibule,
Zamiast »Jaśnie Wielmożny« — »Kochany« lub
[»Miły«.
W ten sposób styl mój w sercu będzie szukał siły
A i Ciebie nie będę nazywać satrapą.
Gdy więc zgoda, pisanie zaczynam *da capo*:
Kochany Redaktorze! Szlę Ci list mój pierwszy,
Sto siedemdziesiąt cztery — okrąglutko wierszy.
Opiewających wielkie galicyjskie sprawy.
Wprzód jednak na momencik wstąpię do War-
[szawy,
Gdzie serdecznym po piórze, pokłon złożyć muszę.
Myślę o pięknych »Kolcach«, o przystojnej »Musze«,
I rozkosznym »Świątecznym«, co jako trzy słońca,
Olśniewają dowcipem kraj, z końca do końca.
Pokłon ich humorowi, pokłon ich ochocie!
Ja, który wiersze moje robię w czoła pocie,
Wiem, co dać może praca, a co zaś natchnienie.
To też wyższość przyznaję tutaj uniżenie
Ich genialnej fantazyi, i błagam zarazem,
By nie chcieli wpaść na mnie ogniem i żelazem;
Albowiem zaprzysięgam, że nie myślę zgoła,
Zdzierać laurów, zdobiących ich natchnione czoła,
Tą moją bazgraniną w »Warszawskim Kuryerze«.
A mówię to dlatego, że jakkolwiek wierzę,
Że nasi humoryści są poczciwe chłopcy,
I że niektórym nawet, rozum nie jest obcy,

http://rcin.org.pl

Z tem wszystkiem, literackie znając obyczaje,
Z góry mogę zaręczyć, że mnie który złaje.
U nas, brat brata kocha, ale swoją drogą,
Poluje na okazyę, by go kopnąć nogą.
Taki zwyczaj — nic więcej, złej woli w tem niema.
Oto dlaczego strach mnie ogarnia i trema.
To rzekłszy o pokorze mojej i ambicyi,
Zawracam do objektu, to jest do Galicyi.
Galicya jest krainą, leżącą przecudnie,
Nogą ku zachodowi, nosem na południe,
Cokolwiek opuchniętym. Gdzie zaś tkwi przyczyna?
Czy w zbytniej pracy nosa, czy też w zbytku wina,
Nie wiem, — piszę co widzę — jak namalowali
Rysownicy na mapie; zaczem jadę dalej:
Galicya jest krainą, której łaska Boża
Dała wszelakie ziemskie skarby — oprócz morza.
Że jednak niemal co dzień, widzimy dowody,
Jak można przewybornie pływać i bez wody,
Więc krzywdy wielkiej niema, tembardziej że mamy
Stawy, sadzawki, studnie, oraz inne jamy,
W których miłość bliźniego, z cnót najwyższa cnota,
Ma dla pobożnych praktyk, podostatkiem błota,
I w których, w dalszym ciągu, można bardzo ładnie,
Po szyję zanurzonym zobaczyć się na dnie.
Jednak proszę nie myśleć, by nam brakowało
Wody czystej, przeciwnie, mamy jej nie mało,
Do picia i do mycia, podatnej natury.

http://rcin.org.pl

Ale gdzie jej tam szukać! chyba iść aż w góry...
Te, rzecz szczególna, leżą z południowej strony,
To jest tej, w którą właśnie nos mamy zwrócony;
Są one tajemnicze, dzikie i olbrzymie,
A choć mało kto ciekaw, co w ich wnętrzu drzymie,
Drapie się, koziołkując, na ich strome szczyty,
Kto żyw — stary i młody, i głodny i syty,
Mądry, głupi, kulawy, krzywy, jednooki...
Tak każdego z nas nęcą przeróżne widoki.
A ten, kto przed innymi na czub się wytoczy,
Mając czerń pod nogami, drwi z niej w żywe oczy,
Tu muszę zauważyć szczególne zjawisko:
Oto, ponieważ droga na szczyty jest ślizką,
Więc drapiące się nogi — zsuwają kamienie,
Które lecąc jak wściekłe, w dalekie przestrzenie,
Sprawiają to, że człowiek z najczystszem sumieniem
Może każdej godziny dostać w łeb kamieniem.
O! i dostaje często; a *casus* ten leży
W leśnej, jak utrzymują uczeni, grabieży.
I rzeczywiście lasy mamy przerzedzone...
Choć ja twierdzę, że rzecz ta ma i dobrą stronę,
Etyczno-chrześciańską; z uwagi albowiem,
Że samobójstwo jest dziś społecznem niezdrowiem,
Że dalej, wśród sposobów nicestwienia ciała,
Gałąź najulubieńszem narzędziem się stała,
Więc gdy błogosławione przyjdą wreszcie czasy,
W których gałęziodajne znikną u nas lasy,

http://rcin.org.pl

Samobójstwa choć jeden gatunek ustanie.
Sądzę, że to jest mądre i uczciwe zdanie,
I zgodne z uczuciami filantropijnemi.
Lasy rodzi nam ziemia, więc nieco o ziemi:
Tę mamy urodzajną, płynącą przed wiekiem,
Jak powiada przysłowie: i miodem i mlekiem,
Cóż, gdy obecnie na tej, słynnej ongi roli,
Moc niezmierna się krzewi ostów i kąkoli;
Które są dla rolników niewymowną szkodą,
Bo chleb zanieczyszczają, a i dłonie bodą.
Mówiono mi, że u was, w każdej niemal chacie,
Rozmaite sposoby na te zielska macie.
Przyszlijcie mi choć jeden, by nad naszą rolą,
Nie pastwiły się plagi, co niszczą i kolą,
Drwiąc sobie z ludzkiej pracy ciężkiej, najnieznośniej.
Mówię tu o bodyakach, bez żadnej przenośni,
Bom jest człowiekiem prostym, nie żadnym stylistą.
I chcę tylko, by rola nasza była czystą,
Rodzącą ważne ziarno oraz wonne kwiaty,
W które właśnie nasz teren nie jest zbyt bogaty,
Jakkolwiekbądź posiada glebę nie jałową.
Stąd też względnie do kwiatów, starczy jedno słowo:
Fiołków mamy nie wiele — słoneczników mnóstwo,
Zwracających się w stronę, gdzie błyszczące bóstwo
Rzuca promienie światła na życia koleje,
Co prawda, to na świecie wszędzie tak się dzieje...
I każdy chętnie widzi smaczną pieczeń z rożna.

http://rcin.org.pl

Tyle o florze; za to znacznie więcej można
Pogawędzić o faunie. Ta, swojska i dzika,
Po galicyjskich błoniach żeruje i bryka,
W niezwykłej obfitości. Lwów nie mamy wcale,
Nie gnieżdżą się też u nas tygrysy, szakale,
Za to obrotne lisy, żbiki, dzikie koty,
Dają naszym myśliwym wiele do roboty.
Tępimy je jak można i mamy nadzieję,
Że za lat tysiąc, wolne będą od nich knieje.
Mamy także zające, wiewiórki i sarny
I tym podobny naród leśny a figlarny.
Co zaś do zwierząt swojskich, to woły i konie,
Są u nas pospolite, w każdej kraju stronie,
Co prawda — wychudzone... lecz kiedy inaczej
Być nie może, porzućmy skargi i rozpacze,
A cieszmy się natomiast, że nasz kraj kochany
Zamieszkują masami poczciwe barany,
Liczą je na tysiące, krocie, na miliony!
Ponad nimi bujają w przestworzu gawrony,
Dzikie kaczki i gęsi, sroki, nietoperze...
A kto tego nie widział niech go zazdrość bierze.
Oto masz na Galicyę ogólny rzut oka,
Przebiegłem ją jak długa jest i jak szeroka.
Boże! Byłbym zapomniał! Toż mamy i ludzi!
Ale może przydługi list mój, Ciebie nudzi,
Kochany Redaktorze? Zatem z ludzką hecą
Do następnego listu; a dziś *intermezzo*

http://rcin.org.pl

Tylko małe tu kładę; bo chcę być spokojny,
I uniknąć grożącej mi, być może, wojny,
Z powodu, że z własnego naśmiewam się kraju.
Ja humorystą jestem, a zatem w rodzaju,
Którego obowiązkiem — pobudzać do śmiechu.
Stąd często winien jestem niejednego grzechu,
Zwłaszcza w chwilach, gdy wpadnę w satyryczny
[zapał.
Lecz cóż byłbym wart, gdybym głaskał a nie drapał?
I każdą rzecz traktował z oględną pruderyą?
Dlatego też humoru nie trzeba brać seryo,
Lecz jako żarcik, w którym prawdy jest drobina.
Zresztą ja drwię zarówno z Wiednia, jak z Berlina,
Z Galicyi i z ambicyi, z kliki, z polityki,
Której nic nie rozumiem, i na wszelkie krzyki
Jestem mocno nieczuły — wyznaję w pokorze.
Drwić mogę nawet z siebie; — jedna, Redaktorze,
Nietykalną jest dla mnie — li Twoja osoba,
Dlaczego? — sprawa krótka, tak mi się podoba.
I choćby z Ciebie drwiło całutkie pół miasta,
Dla mnie będziesz świętością. Ot co jest i basta.
A teraz, przyjmij uścisk przyjacielskiej dłoni,
Bywaj zdrów, niech od krzywdy wszelkiej los cię
[chroni.

Grudzień 1891 r.

http://rcin.org.pl

II.

Kochany Redaktorze! W pierwszym moim liście
Przyrzekłem ci, zanadto może uroczyście,
Wskazać drogi, jakiemi życie ludzkie płynie,
Tu u nas, w galicyjskiej uroczej krainie.
Przyrzekłem ci i jestem w niemałym kłopocie;
Bo skorom się zagłębił w tej miłej robocie,
Ujrzałem tyle ścieżek i w lewo i prawo,
Wijących się, niknących, zarośniętych trawą,
Krzywych, ślizkich, idących stromo popod górę,
Bagnistych, prowadzących w przepaście ponure,
Że choćbym chciał rzecz dotknąć jak najdelikatniej,
Sam nie wiem, jak potrafię wybrnąć z owej matni.
Tembardziej, że jak grzeczny gospodarz w swym domu,
Nie chciałbym żadną miarą ubliżyć nikomu.
Zaraz na sam początek mam trudność nielada,
Mianowicie pytanie, jaką mi wypada
Grupę społeczną u nas, postawić na czele?
I ta warta nie mało i ta warta wiele...
Gdy jednak sprawę ubić raz jakoś potrzeba,
Więc odwagi i naprzód. Wzywam łaski nieba,

http://rcin.org.pl

I zaczynam od żydów. W przestrzeni i czasie,
Któż odmówi pierwszeństwa tej wspaniałej rasie?
Ona to, wywiesiwszy na czarnym sztandarze —
Guldena — poniewiera ludzkości ołtarze,
Wlepia w jego potęgę zachwycone oczy,
I raz wytkniętą drogą — konsekwentnie kroczy.
To też geniusz jej złoty wpośród nas się pleni,
I wszystkich nas zagania do swojej kieszeni.
Po żydach, pierwsze miejsce zajmują książęta,
Hrabiowie, baronowie i inne panięta,
Tak zwana magnaterya i arystokracya.
Ta, że u nas istnieje, jest kompletna racya;
Bo któżby bez niej dzierżył honory i władzę?
Gdy się kiedy jakiego statysty poradzę,
Wyjaśnię ci to lepiej, a zaś teraz trzeci,
Wielki społeczny odłam niechaj nam zaświeci:
A mianowicie szlachta na roli osiadła.
Tej jeszcze przed oczyma majaczą widziadła,
Dawno minionej chwały i dawnej potęgi.
Lecz z uwagi, że los jej ciągłe sprawia cięgi,
I że śmiać się z niedoli jest poniekąd zbrodnią,
Podzielę ją na wschodnią tylko i zachodnią;
Czyli nomenklaturą, mówiąc polityków,
Na miłych Podolaków i pięknych Stańczyków.
Jedni i drudzy żywią osobiste cele,
Tylko temperamentem różnią się o wiele,
Bo kiedy Stańczyk chadza milczkiem i kabałą,

http://rcin.org.pl

Podole dużo gada, ale robi mało.
Wyjątki są — lecz giną wraz z pracą ofiarną,
Jak w wymłóconych kłosach, zabłąkane ziarno;
Lub milczą, nie chcąc piersi dawać na szarpanie.
Po szlachcie następują sławetni mieszczanie,
Ci, jak to sami twierdzą, wyrośli nad tłumy;
Są pełni pysznej buty, ambicyi i dumy,
Zresztą po co tu wiele gadać — są sławetni.
A że ja ich wielkości, choć mi głowę zetnij,
Nie widzę, — to nie racya. Muszą być mędrcami
Tacy, co o mądrości swojej krzyczą sami.
Piątą grupą, przez wszystkich wielce ukochaną,
Jest lud; o nim radzimy w dzień, w noc, wieczór,
[rano...
Lecz mu dotąd to nasze opiekuńcze skrzydło,
Tyle co umarłemu, pomaga kadzidło.
Te pięć ras ludzkich, siebie miłujących srodze,
Żyje sobie w Galicyi, jako groch przy drodze.
Boć i żydów i hrabiów możnaby po trochu,
Ex re skubania u nas, porównać do grochu.
Lecz o skubaniu potem; bo mi się wydaje,
Żem nie dość jeszcze jasno skreślił obyczaje,
To jest charakter ludzkiej, galicyjskiej rzeszy,
Co mnie, rzecz naturalna, nie koniecznie cieszy.
Ale, jakby to jaśniej? Ten nasz ukochany
Rodzaj ludzki ma takie typy i odmiany,
Gatunki, podgatunki, gromady, rodziny...

http://rcin.org.pl

Że ażeby uniknąć zbytniej gmatwaniny,
Na zdrowy sens w poezyi godzącej zdradziecko,
Spróbuję się zabawić, tak jak małe dziecko.
Czy ty znasz kalejdoskop? Jest to rodzaj rury,
W której lada strzęp kształtne przybiera kontury,
I nie jedną ci bajkę sam o sobie powie.
Weźmy więc ową rurę i w nią ludzkie mrowie
Wsypawszy, zamieszane doskonale razem,
Zatrzymajmy się chwilkę przed każdym obrazem.
Będzie to, w każdym razie, maleńką zabawą,
Cokolwiek za ogólną może i jaskrawą...
Lecz właśnie mi nie chodzi dzisiaj o szczegóły,
Tylko o tło niejako do dalszej fabuły.
Owo patrzmy; rój ludzkich przesuwa się twarzy,
Wśród głazów i przepaści; — to młodzi i starzy.
Ci wzrok błędny wlepiają w szczyty stromej skały,
Gdzie w mgłach spowite drzemią blade ideały;
Tamtych myśl rwie się naprzód; a z ócz im wyziera
Dręcząca młode serca, dewiza — karyera.
Każdy z nich pełza, służy, kłania się i skacze...
Kilku leży na ziemi — robili inaczej!
Obraz drugi: ten dzieli się na dwie połowy;
Po obydwóch jaśnieją polityczne głowy:
W prawo konserwatyści — w lewo demokraci.
Pierwsi wiedząc, na zmianie ile człowiek traci,
Złożywszy dłoń na brzuszku, postępu się strzegą;
Zaś demokraci pragną — dyabli wiedzą czego.

http://rcin.org.pl

A może też i wiedzą; bo gdy z drugiej strony
Wezmę kolor tych stronnictw: biały i czerwony,
I gdy widzę, jak nieraz dostąpiwszy chwały,
Demokrata się staje z czerwonego — biały,
Słusznie mogę przypuszczać... ale mniejsza o to,
W polityce nie zawsze honor bywa cnotą.
Kalejdoskop potrząsam po raz trzeci z rzędu.
Krajobraz: łąka, pole, pełno dymu, swędu,
Dwaj rycerze na koniach, z przyłbicą spuszczoną,
Harcują tam i nazad, tą i drugą stroną.
Są to, na jednej matki wykarmione chlebie,
Dwa rody zamieszkałe u nas obok siebie.
Harcują; a ukryci za przyjaźni tarczą,
Przypatrując się sobie, mniej przyjaźnie — warczą.
Obrazek zajmujący, czwarty: rynek miasta;
Tłum mężów w okularach kręci się i szasta,
Pragnąc poruszyć kamień, co drogę zawala.
Ten go obchodzi w koło, ten z blizka, ów zdala,
Ten ciągnie, ów popycha, ten wątpi, ten wierzy...
A kamień w środku rynku, jak leżał, tak leży.
Kto są oni mężowie, odgadnąć rzecz łatwa.
Jest to inteligencya, co tak sprawy gmatwa
Gadaniną stronniczą, luźną i niezdarną,
Że w końcu proste łyki, zbite w kupę karną,
Jak tam ich byle krzykacz popchnie i nakręci,
Rozstrzygają rzecz każdą wedle własnej chęci.
Obrót kalejdoskopu piąty: dwie tablice,

http://rcin.org.pl

Wskazujące palcami w dwie różne ulice,
Ku jednej, gdzie widnieje szare godło: Praca,
Nieliczna garść poczciwców ciężkie kroki zwraca;
Ku drugiej suną tłumy; tam powiewa flaga,
A na niej złotem tkany, błyszczy napis: Blaga!
Bezczelny, śmiały, płytki, niczem niespożyty,
Sypiący hojną dłonią blaski i zaszczyty.
Obraz szósty: nowego niema nic, niestety!
Z jednej strony mężczyźni a z drugiej kobiety.
O pierwszych rzekłem tyle, że jeśli przestanę,
Na pochwałę zasłużę raczej — niż naganę.
Co do drugich, w przesadę, sądzę, że nie wpadnę,
Gdy prosto z mostu powiem: wszystkie są paradne,
Miłe, słodkie, przystępne, czułe, jasne, złote...
A ktoby zaś nie wierzył w ich wdzięki i cnotę,
Niech się ich dotknie palcem, jak Tomasz niewierny;
My zaś patrzmy wciąż dalej. Boże miłosierny!
A to co? Tłum postaci! Ludzie czy anioły?
Tańcują galopadę! Gwałtu! Każdy goły!
Goły chłop i mieszczanin goły — goła szlachta...
Gdzieniegdzie ledwo kryje nadszarpana płachta
Magnata albo żyda... reszta wszyscy goli!
Na tem niech Redaktorska Wasza Mość pozwoli
Kalejdoskopu zamknąć, jak na dzisiaj, wieko;
Bobym się mógł posunąć nieco za daleko,
A i tak się obawiam, żeby mnie nie zmyto
Za ostatnią odsłonę, niezbyt przyzwoitą.

http://rcin.org.pl

Zresztą, choć dziś do śmiechu mam gust nieprzeparty,
Spróbuję na chwileczkę w kąt porzucić żarty,
Których, gdy jest za wiele, świat sobie nie ceni,
I kończę rzecz na seryo: jesteśmy zmęczeni!
Czy, że trud nas zużywa, jałowy bez przerwy,
Czy, że co pokolenie mamy słabsze nerwy,
Dość, że każda myśl u nas błyskawicą spłonie,
I zaraz się do drzemki kładzie w naszem łonie,
Albo też wielkim głosem zawoławszy: biada!
W otchłanie niedołęstwa bezwładnie zapada.
Czy ten objaw znużenia nas tu tylko gniecie,
Czy jest on dziś zjawiskiem powszechnem na świecie?
Tego nie wiem, tem samem przesądzać nie mogę.
Zatem list mój na inną przeprowadzam drogę,
Na której już satyry nie będzie i cienia:
Twej Pani, Redaktorze, błagam przebaczenia,
Żem jej w mym pierwszym liście nie przesłał ukłonu,
Tej zbrodni nie przebaczę sobie aż do zgonu!
Doprawdy, nie pojmuję sam jak to się stało!
Toż głośny jestem z tego na Galicyę całą,
Że ile względem mężów mam pewne wymogi,
Kobietom — same kwiaty rozścielam pod nogi.
To jest najwyższą moją dumą, Mości Panie!
I to nie ja sam tylko, my wszyscy lwowianie,
Jeśli którą, to którą, lecz tę cnotę mamy,
Że niewiasty kochamy, czcimy, uwielbiamy...
Niech więc mnie Twoja Pani nie zwie niedołęgą,

http://rcin.org.pl

Kochany Redaktorze! bo stwierdzam przysięgą,
Że podobnej herezyi nie popełnię więcej.
Co rzekłszy, w znak pokory całuję Jej ręce
Milion milionów razy; a Twoją dłoń miłą
Ściskam. Oby Ci wszystko dobrze się darzyło,
Aby rok tysiąc ośmset dziewięćdziesiąt drugi,
Był z początku do końca na twoje usługi.
P. S. »A cieszmy się natomiast, że nasz kraj kochany
Zamieszkują masami poczciwe barany«.
Te słowa, powiedziane w pierwszym moim liście,
Wywołały tu burzę. Owóż uroczyście
Zapewniam, że to pisząc, nie miałem głupoty
Baraniej na widoku, lecz owszem przymioty,
Jakie w baranim świecie cenimy najwyżej.
Mianowicie o wełnie myślałem i strzyży.
Należy więc ów ustęp rozumieć z tej strony:
Że takich, których strzygą u nas, są miliony!
A strzyże nas dokładnie ciężka ale przednia,
Sturamienna machina »*Fiscus*« [1]), rodem z Wiednia.

[1]) Podatki.

Lwów, styczeń 1892 r.

http://rcin.org.pl

III.

Kochany Redaktorze! Mam to przekonanie,
Że czytając me listy, myślisz: Galicyanie,
To chyba jakaś nacya, że pożal się Boże!
Mylisz się, i to grubo, zacny Redaktorze!
Bowiem, choćby dla tego tylko, że Galicya
Tak dokładnie rymuje z wyrazem ambicya,
I że, jak to wiadomo, leży w środku świata,
Musi być krajem, w którym polor i oświata,
I tym podobne cnoty zimne i gorące,
Kwitną, jak »Męska stałość« [1]) puszysta na łące.
Ta wprawdzie, gdy dojrzeje, za lada podmuchem,
Traci cały swój urok, wraz z misternym puchem,
I staje się badylem — zielskiem pogardzonem,
Wszakże do czasu błyszczy żółto na zielonem.
Jeśli moja przenośnia nie jest dość wspaniałą,
Mogę napisać inną — to kosztuje mało;
Naprzykład, że z nas mądrość, jak z wulkanu bucha.
Powyższa paplanina dotyczy spraw ducha,

---

[1]) Toraxacum vulg. Podróżnik zwany Męską stałością.

http://rcin.org.pl

Cóż dopiero gdy myślę o realnej sprawie?
Serce moje w tak wielkiej pogrąża się sławie,
I taką pała dumą, że aż dla ochłody
Wypić muszę w tem miejscu szklankę zimnej wody;
Co uczyniwszy, proszę: niech mąż czy niewiasta
Porówna nasze, tutaj, z waszemi tam miasta...
Cóż wy macie? Warszawę! Doskonale! Brawo!
Czem jest jednak Warszawa? Czem? prostą War-
[szawą!
Powiadają, że ładna, wierzę; — że nie biedna,
Wierzę, lecz co to znaczy, gdy jest tylko jedna!
Gdy my, tymczasem, mamy, Boże odpuść winy,
Aż dwa ogniska; bajki Wiednie i Berliny!
Aż dwa ogniska mamy, które żadną hecą,
Ale prawdziwem światłem grzeją nas i świecą,
Jak się one mianują, powiedzieć rzecz łatwa,
Wie o tem ledwo z pieluch wywinięta dziatwa;
Ja jednakże nie powiem, albowiem się boję...
Każdy ma uprzedzenia i obawy swoje.
Ja, naprzykład, rzecz lubię traktować zostrożna,
Ażeby w danym razie wykłamać się można.
Gdy raz nazwawszy kogo zerem lub miernotą,
Ani wiesz, w jakie możesz wleść szkaradne błoto.
Stąd to, chcąc sen spokojny mieć i plecy całe,
Powiem, że owe nasze dwa miasta wspaniałe
Zwą się: jedno — *Pawików*, a drugie *Indyków*. —
Tutaj muszę przeprosić panów gramatyków,

http://rcin.org.pl

Że jeśli w dalszym ciągu niniejszej ramoty,
Przedstawiając żyjące w tych miastach istoty,
Spotkam się raz i drugi, z onych liczbą mnogą,
Nie całkiem gramatyczną pójdę sobie drogą;
Z Indykowem rzecz prosta; bo czy będę mury
Tego miasta opiewał, czy doły, czy góry,
Czy to wspaniałych mężów, czy miłe dziewczęta,
Mogę pisać: Indyki albo Indyczęta...
Lecz co do Pawikowa, rzecz zupełnie inna.
Bowiem *Pawikowianie* byłaby nie płynna
Forma, a i cudaczna. Czyż nie lepsze zdanie
Będzie, gdy powiem prosto: szlachetni *Pawianie?*
Zaznaczam, że *Pawianie* mówię, nie *Pawiany;*
Boby to było brzydko. Jestem przekonany,
Że nawet akademia sławna, pawikowska,
Której na sercu leży o nasz język troska,
Za tę moją licencyę szczerze mi przyklaśnie;
Bo oto uroczyście ogłosiła właśnie,
Po wieloletniej męce, że każda osoba
Może sobie tak pisać, jak się jej podoba.
Tak więc jestem w porządku, — co zaś do urazy,
Jaką paw i od niego idące wyrazy
Mogłyby ściągnąć na mnie, nie lękam się wcale.
Albowiem wszyscy wiedzą o tem doskonale,
Że paw choć może nadto cokolwiek się puszy,
A i krzykiem fałszywym często drażni uszy,
Wszakże jest ptakiem pięknym i wspaniałym, który

http://rcin.org.pl

Darzy swych wielbicieli złocistemi pióry.
Lecz ostatecznie o to nie boli mnie głowa.
Ja mieszkam o pięćdziesiąt mil od Pawikowa,
Co leży gdzieś, na samym cyplu, na zachodzie...
Ja w Indykowie mieszkam, widzi pan dobrodziej,
W Indykowie, miasteczku, co o całe nieba
Jest wyższe, aniżeli mniej więcej potrzeba.
Że zaś o nim biegają wieści dość opaczne,
A ja go znam niezgorzej, więc od niego zacznę.
Naprzód kładę notatkę historyczną o nim:
Mianowicie, dla czego dostał pseudonim
Od Indyka, od ptaka, słynącego z buty?
Wyraz ten wynalazła raz, gdym chodził struty,
Nie mogąc go wymyśleć, dla mnie, moja żona,
Kapitalna niewiasta! Bowiem mocna strona
Naszego miasta leży w poczuciu krytyki.
A wiadomo, że nikt tak, jak dzielne indyki,
W każdej sprawie coć znajdą i zaraz bulgocą,
Nadąwszy się wspaniale, choć i niema po co.
Zresztą, jest to ptak zacny i z pierza i z mięsa,
Gdy więc po Indykowie duch mój się wałęsa,
Powiem, że miasto ono leży w miłej dziurze,
Co sprawia, że wszelakie pioruny i burze,
Nie tykając serc naszych, biją w naszą głowę.
Stąd, gdy jedna przeminie, czekamy na nowe
Z całą swobodą myśli i lekkością ducha.
Dawniej, w tym naszym raju, szeptał nam do ucha

http://rcin.org.pl

Strumień słodkie piosenki... był gaj, była rosa...
Ale że to się działo z wielką krzywdą nosa,
Więc strumień-śmy przykryli i dziś ślepe tłumy
Depczą wspomnienie naszej miłości i dumy.
Za to źródłem, skąd spływa na nas promień złoty,
Są w naszym Indykowie praprastare płoty,
Czyli raczej parkany; a mamy ich tyle
W samem sercu miasteczka, że na jaką milę
Możnaby je rozciągnąć, połączywszy razem.
Jest to dla mnie niezbitym i świetnym wyrazem
Że Indyków jest wyższy ponad wszystkie grody.
Bo cóż, że tam gdzieś sterczą gmachy pysznej wody.
Skoro już na wspanialsze niema miejsca więcej?
Gdy tymczasem, tu, u nas, jakie sto tysięcy
Możnaby ponasadzać pałaców rokoko,
Baroko i tam dalej, jakich ludzkie oko
Nie widziało; ba, takich, że niechaj się schowa
Sam nawet pan Talowski, majster z Pawikowa,
Cieszący się uznaniem świata niesłychanem.
Wogóle my tu domy budujemy z planem;
Bo prawie co dziesiąty, nowo wystawiony,
Czy to wielki, czy mały, z tej lub owej strony
Trzęsie się albo pęka, albo się przewraca.
Tym sposobem publiczna w Indykowie praca
Ma wiecznie zapewnione dla odpływu łoże,
I żadna zawierucha na nas spaść nie może.
Jak mamy ustalony spokój, tak i zdrowie;

http://rcin.org.pl

Bo kto tylko jest głodny w naszym Indykowie,
To ma takie wybredno-smaczne restauracye,
Że czy to w nich spożyje obiad czy kolacye,
Musi dostać co najmniej choćby kolki brzucha;
Co nie tylko że wpływa dzielnie na hart ducha,
Ale wychodzi także na pożytek ciała,
Na które potem żadna trucizna nie działa.
Tę samą rolę grają u nas i hotele,
Których tu, urządzonych pysznie, mamy wiele;
Tak, że po przepędzonej w nich już jednej nocy,
Człowiek takiej nabiera wnet odpornej mocy,
Pokąsany i zbity, jak gdyby ze stali
Ukuło mu powłokę ziemską — stu kowali.
Tak to człowiek za marny grosz może być zbrojny
Na wszelkie niewywczasy, przygody i wojny [1]).
Tak jest, mój redaktorze, tylko nie myśl, proszę,
By nas tu, w Indykowie mijały rozkosze.
Mamy ich tu bez liku, że o jednej powiem,
Łączącej harmonijnie przyjemność ze zdrowiem.
Chcę mówić o tumanach kurzawy i pyłu:
Idziesz sobie ulicą... w tem, z przodu i z tyłu,
Wpada na cię wichura i oddech zapiera,
Sypiąc za kołnierz piasek, śmiecie *et caetera*...
Wtedy to, zamknij tylko nos, usta i oczy,

[1]) Wszystko to uległo korzystnej zmianie przez lat 10 od czasu, gdy Rodoć to pisał.

http://rcin.org.pl

A po chwili gdy tuman grzecznie w bok uskoczy,
Otwórz zręcznie napowrót, a ozonu fale
Napełnią piersi twoje, słodko i wspaniale.
Jest to rozkosz tak pyszna i tak wielkiej miary,
Że kto jej nie doświadczył, nie da temu wiary;
A której nigdy ludzkie nie zaznają płuca,
Gdy się ciągle powietrze czyste im narzuca,
Jak to bywa po miastach podlejszej kultury.
To, co tu powiedziałem, są tylko kontury
Naszego Indykowa; a już, Redaktorze,
Słyszę, jak wielkim głosem wołasz: miły Boże!
Jakież to miasto pełne wdzięku i uroku!
Cóż to będzie, gdy w dalszym, moich listów toku
Powiem ci, jaką setkę mamy rajców miasta,
Jak ich rozum o głowę Europę przerasta,
Jaka dzisiaj młodzieżą naszą wstrząsa febra,
Jak w Kulparkowie [1]) pięknie łamią chorym żebra,
Jak nasza dzielna, miła i genialna prasa,
Na srokatym koniku, rozkiełznanym hasa...
A gdy do tego dodam słówko o teatrze,
O mądrości sztukmistrzów, rządzących w tej szatrze,
Słowem, gdy ci przedstawię bliżej nasze sprawy,
To kto wie, czy nie zechcesz wynieść się z War-
[szawy,
I tu, do Indykowa zjechać na mieszkanie.

[1]) Zakład obłąkanych.

http://rcin.org.pl

Tylko znowu tak bardzo nie kwap się, kochanie,
Bo cię tu nasza prasa przyjmie tak radośnie,
Że drapniesz, redaktorku, drapniesz, gdzie pieprz [rośnie,
I bratnie jej uczucia popamiętasz długo...
U nas, prędzej czy później — weźmiesz w łeb [maczugą.
Nie oskarżam ogółu, niech mnie Bóg uchowa!
Ale zawsze się znajdzie dziennikarska sowa,
Która, gdyś jej nie miły, czai się za płotem,
I bądź ty jak łza czysty — obrzuci cię błotem.
Albo też wyzyskawszy twą pracę i zdrowie,
Nawet ci za to wszystko »Bóg zapłać« nie powie.
Któż zbadał serc przepaście?...
List mój kończę na tem.
Przepraszam że go kończę gorzkawym tematem,
Lecz nie zawsze mieć można serce cukru pełne,
Nie zawsze można prawdę obwijać w bawełnę.
Bywaj zdrów Redaktorze — sługa uniżony,
Pani Twojej przesyłam tysiączne ukłony,
I proszę, by raczyła rozesłać łaskawie
Moje *Post-scriptum* wszystkim niewiastom w War- [szawie.

P. S.

To, co tutaj dodaję, jest brzydka afera:
Przerzucając z mym listem ostatnim, *Kuryera*

http://rcin.org.pl

W miejscu, gdzie serce moje do pań naszych wzdycha,
Czytam, że są *przystępne!* A to co u licha!
Ja tego nie pisałem! A to znakomite!
Właśnie, że nieprzystępne są i nieużyte.
A toć nie wiem, czy w całej Galicyi jest taka,
Co za trzyletnią służbę da ci choć buziaka?
Jam napisał *przylepne*, *przy-le-pne*, z powodu,
Że są słodkie, że do nich lgnie się jak do miodu.
W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!
Ja miałbym być brutalem?... Wystąpże, kolego
Redaktorze, gdzie trzeba, z swą władzą i siłą,
By mi się takie głupstwo więcej nie trafiło.
Nie o panie mi chodzi, te są tak łaskawe,
Żeby mi przebaczyły bodaj gorszą sprawę,
Ale o znawców, których jest pełen Indyków,
O braci literatów chodzi — o krytyków!...
A ja przed krytykami, to aż drżę ze strachu,
Jak kot, gdy widzi harta, sam siedząc na dachu.

Lwów, luty 1892 r.

http://rcin.org.pl

IV.

Kochany Redaktorze! Naprzód anegdota
Warta, jeśli nie beczki, to choć garści złota:
Rzecz działa się w Paryżu, ongi, a jej temat:
Że pewien głośny autor napisał poemat,
A że niektóre wiersze złymi mu się zdały,
I że był, co się zdarza, nie zarozumiały,
Więc pracę swą przepisał sto razy na czysto,
I rozesłał znajomym, z prośbą uroczystą,
By zechcieli wiersz każdy, bez wszelkiej żenady,
Stosownie do uznania za piękny czy blady,
Popodkreślać niebiesko albo też czerwono.
Po miesiącu mu skrypta uprzejmie zwrócono...
I cóż się pokazało? — Oto gdy ciekawy
Autor, dla zdania sobie z poematu sprawy,
Przejrzał znaki przyjaciół, to każdy wiersz kreską
Opatrzony czerwoną był, oraz niebieską,
Rzecz jasna, że po takim świetnym rezultacie
Poemat w świat wyruszył w swej pierwotnej szacie
. . . . . .

http://rcin.org.pl

To samo dziś, mniej więcej, zdarzyło się ze mną:
Bo gdy jedni z przyjaciół mówią: że zbyt ciemno
Przedstawiam mych współbraci, drudzy, że zbyt [jasno,
Nic mi więc nie zostaje, jak iść drogą własną,
Bez względu na pochwały, rady i nagany.
To samo mi zalecił mój mentor kochany,
Panie świeć jego duszy! — mistrz Józef Ignacy [1]).
On to, gdy błogosławił pierwszej mojej pracy,
»Pisz, powiedział, mój drogi, jak ci serce każe,
»Bądź głuchy na pochlebstwa, krzyki i potwarze,
»A gdy zapragniesz rady, to radź się sumienia.
»Nie dzisiejsze nas mają sądzić pokolenia,
»Co gnane interesem, prywatą miotane,
»Nie bacząc na niejedną, piekącą je ranę,
»Temu, który ją dotknie, przekleństwami płacą.
»Pomnij, że twoja praca jest ofiarną pracą...
»Niech więc szczerość i miłość kroki twoje wiodą,
»A spełniona powinność niech będzie nagrodą«.
Te słowa są i będą mi przewodnią gwiazdą.
To też, jeśli rodzinne opisując gniazdo,
Wśród wesołego żartu i prostego śmiechu,
Będę jakiegokolwiek kiedy winien grzechu,
To nie będzie to gorycz ni złośliwość płocha;

[1]) J. I. Kraszewski w liście pisanym do mnie 4-go lutego 1876 r.

http://rcin.org.pl

Bo serce moje wady nawet bratnie kocha.
I jeśli je wskazuje — nigdy nie przeklina.
. . . . . .
Ale dosyć refleksyi; zbyt poważna mina
Nie przystoi prawemu zgoła humoryście.
Wracam więc do przedmiotu, jaki w trzecim liście
Poruszyłem; w objęcia naszych miast się rzucę.
Owóż, mój Redaktorze, ku twojej nauce,
Abyś wiedział jak u nas opinia się ściele,
Przedewszystkiem pociągnąć muszę paralelę
Pomiędzy Indykowem oraz Pawikowem.
Jest to bowiem zjawiskiem ciekawem i nowem,
Jak te dwa zacne miasta — jednej matki dzieci,
A każde inną cnotą i zwyczajem świeci:
Dajmy na to, że kiedy w murach Pawikowa
Przytrafi się zdolniejsza cokolwieczek głowa?...
Zaraz ją myją, czeszą, sadzają na stole,
Wynajdują stosowną do jej kształtu rolę;
Fryzują w piękne loki i na wszystkie strony
Okadzają i trąbią i biją we dzwony.
W Indykowie rzecz inna; u nas każdy płynie
I drapie się, jak może; a gdy na drabinie
Jaki szczebel zdobędzie, wnet go całą zgrają
Serdeczni przyjaciele za nogi ściągają.
Tak, że jeżeli w końcu osiągnie wygraną,
To w każdym razie z łydką mocno poszarpaną.
Stąd pochodzi, że ogół, poczciwi ludziska,

http://rcin.org.pl

Czytając drukowane, a nie patrząc z blizka,
Wierzą, że w Pawikowie, co każdy mąż — tęgi,
A w Indykowie same bite — niedołęgi.
Co tak się ma do prawdy, jak niebo do ziemi.
. . . . . .
A teraz się zajmijmy sprawy ciekawszemi:
Oto cały Indyków drży, jak liść osiny,
Niepewny, kogo ubrał w radzieckie wawrzyny.
Bo należy ci wiedzieć, Redaktorze miły,
Że się u nas niedawno wybory odbyły.
Ale jakie wybory! Aż setkę do urny
Kładliśmy naraz imion; a nie żaden *durny*
Naród-śmy tam rzucali! Śmietankę indyczą!
Było to przed miesiącem — a teraz ich liczą...
Każdy więc z nas strapiony, drżący i ciekawy,
Żebyś jednak nie sądził, że tej wagi sprawy
Poważam się dotykać byle wzmianką małą,
Opowiem ci dokładnie wszystko jak się działo:
. . . . . .
Najprzód trzeba ci wiedzieć, że my co trzy lata
Robimy radę miejską, która nam zamiata
Tu i ówdzie ulice; z dumą gospodarza
Spogląda jak psów liczba w mieście się pomnaża,
Śledzi, czy się latarnie zbyt jasno nie palą,
Podczas świąt występuje z malowniczą galą,
Przetrząsa nam kieszenie u każdej rogatki,
Z werwą, godną podziwu, nakłada podatki;

http://rcin.org.pl

Słowem, trawka na bruku bez niej nie wyrasta,
Stąd radni otrzymali tytuł: ojców miasta.
A także i dlatego, że w każdej potrzebie,
Dba radny (twój znajomy) jak ojciec o ciebie.
Rzecz więc ludzka, że w wielkiej przedwyborczej [chwili,
Każda rozsądna dusza stara się i sili
Posadzić na ratuszu mężów swego kroju.
W tym celu, pięknie, składnie, w ciszy i spokoju,
Indyków nasz wysadził aż dwa komitety.
Zaś akcyę w dłoń ujęły — dwie wielkie gazety:
Jedna zwana »Gadziną« — druga »Wielką Pałką«.
A że każdy polityk, z głową choćby miałką,
Antagonistę swego grzecznie honoruje,
Więc »Gadzina« nazwała przeciwników «Zbóje«,
A »Wielka Pałka« swoich, nawzajem — »Lokaje«.
Tak Achilles Hektora, nim zabije, łaje.
Jakiego byli winni ci *Zbóje* rozboju,
I w jakim się *Lokaje* kładli przedpokoju,
Tego nie wiem, więc kwestyi bliżej nie potrącę...
Rycerska polemika trwała dwa miesiące;
Wśród której, gdy wyborów chwila była blizka,
Nastąpiły zachwytu godne widowiska,
Tak zwane przedwyborcze zgromadzenia, które
Taką miały sławetnie — gładką politurę,
Że...
Jedno ci opiszę. Było to w niedzielę
Godzina szósta wieczór, zatem po kościele,

http://rcin.org.pl

Gdy stronnicy »Gadziny«, pyszni i wspaniali,
Zeszli się na obrady w ratuszowej sali,
Wiedzieli o tem dobrze zwolennicy »Pałki«;
By więc przerwać uciechę wrogów i przechwałki,
O tej samej godzinie, pełni animuszu,
Znaleźli się w komplecie, również na ratuszu...
Zaczęła się debata; a mowa po mowie
Leciały w otchłań wieków...
Szanowni Panowie!
Mówił klasyczny mowca stronnictwa *Lokai*,
Jeszczem w życiu nie widział tak mizernej zgrai,
Jak ta, którą nam »Pałka« na ojców zaleca.
Jeden miastu chleb stęchły daje z swego pieca,
Drugi skóry na uprząż ze zgniłą wyprawą!
Padam do nóg... (Galerya bije mowcy brawo).
Na to wstaje mąż »Pałki«, srogiej pantominy,
I rzecze: Gadzinowcy! Jesteście kretyny,
Jakich nigdy nie widział nikt na całym świecie!
Któż to, jeśli nie z waszych kradnie miastu śmiecie?
Kto zjada słodkie siano z miejskiego parowu?
Wy zjadacie! (Galerya bije brawo znowu);
Jedni wołają wiwat! drudzy waryat krzyczą...
Nagle, czterej od »Pałki«, z siłą iście byczą,
Jednego z swoich mężów wziąwszy na ramiona,
Wołają: Oto prorok! On wszystkich pokona!
I suną ku trybunie [1])...

[1]) Autentyczne.

http://rcin.org.pl

Tu zamęt powstaje:
Kandydat na proroka wierzga... bo *Lokaje*,
Widząc, jaka spaść może stąd na wrogów chwała,
Szczypią twardego męża w miękkie części ciała...
Gwałt i rwetes... a *Zbóje* otrzymują pole,
I swego amfitryona stawiają na stole,
Pełni dobrej otuchy, rycząc z uniesienia.
Cóż, kiedy ich zwycięstwo w klęskę się zamienia.
Bo ledwie mąż przyszłości z obliczem wesołem,
Zawołał: »Oto jestem« — znalazł się pod stołem.
Wtedy to, jak wyborcze dziś chcą mieć wymogi,
Przyszła kolej na pięście i stołowe nogi...
Zwolennicy »Gadziny«, dzieci »Wielkiej Pałki«
Leciały, jak strącone wichrem ulęgałki,
Na prawo i na lewo... i nie jedna głowa
Długo jaśniała plastrem na cześć Indykowa.
Wreszcie dzień uroczysty nadszedł, dzień wyboru;
Już od samego rana, różnego koloru
Nalepione plakaty sążniste, na murze,
Głosiły, że nas czeka święto bardzo duże.
Co za dzień przewspaniały! co za wzniosłe czasy!
Kto chciał, mógł dostać darmo dwa łokcie kiełbasy,
I piwa *ad libitum*. A chociaż nawzajem,
Parlamentarno-politycznym obyczajem,
Mógł oberwać szturchańca, to już z własnej winy,
Gdy przypadkiem do wrogiej zaszedł oficyny;
Lecz zabawa bez guzów byłażby zabawą?

http://rcin.org.pl

Głosowaliśmy ostro, to w lewo, to w prawo...
Komu los był łaskawy — nie wiadomo jeszcze,
Bo na kartach wyborczych są znaki złowieszcze,
Piorunami ciężarne... jednakże się zdaje,
Że zwycięstwo tym razem odniosą *Lokaje*.
Komu żal zwyciężonych, niech się nie frasuje;
Jutro, w podobnej sprawie, górę wezmą *Zbóje*,
I tak w kółko; my bowiem, Indykowe dziatki,
Nie rządzim wypadkami, lecz nami wypadki.
Ot, co jest, Redaktorze!
Ale, ale, ale,
W moim humorystyczno-epickim zapale
Przepomniałem o rzeczy ważnej — że tytuły,
Zwłaszcza te, co się częściej w mej powieści snuły,
Jak *Zbóje* i *Lokaje*, zresztą wcale śliczne,
Nie moim wynalazkiem są — lecz autentyczne.
Czytałem je w dziennikach obu najwyraźniej.
A mówię to nie z żadnej, broń Boże, bojaźni,
Lecz, że szanując naszych społecznych szermierzy,
Lubię oddać każdemu — co mu się należy.
Zresztą, ile się zdaje, to tytuły owe
Nie spadły ciężkim młotem na niczyją głowę;
Bo mówią, że w nich prawdy mniej niż za trzy
[grosze,
Czemu wierzę i wszystkich, by wierzyli, proszę.
Sądzę, mój Redaktorze, że wspaniałe sceny,
Jakie Ci z indykowskiej skreśliłem areny,

http://rcin.org.pl

Tyle podniosłych uczuć wlały Ci do duszy,
Że Cię dziś żadna sprawa głębiej nie poruszy,
Toż moją epistołę kończę.
Bywaj zdrowy!
Twój wierny i serdeczny od stóp aż do głowy.
Na rączce Twojej Pani pocałunek chwacki
Zechciej złożyć odemnie. Niech baby i placki,
Marcypany i inne świąteczne frykasy
Poroznoszą jej sławę w przestrzenie i czasy!
Niech jej wesoło przemkną nadchodzące święta,
A o swym uniżonym słudze — niech pamięta.

Lwów, marzec 1892 r.

http://rcin.org.pl

V.

Kochany Redaktorze! Dziwnie mi jest smutno!
Czy to, że myśl mam dzisiaj jakąś bałamutną,
Czy, że patrząc na świat nasz, pełen Bożej łaski,
Gdzie spojrzę, widzę smutki, troski i niesnaski,
Dość, że pomimo woli i pomimo chęci,
Łza boleści i żalu w oku mi się kręci.
Gdybyż z piersi nam wyrwać chwast mizernej pychy!
Gdybyż w ryk przeistoczyć sumienia szept cichy!
Gdybyż wlać w serca ludzkie kroplę dobrej woli!
Gdybyż! gdybyż!... Niestety, wszystko, co nas boli,
Łzy, gorycze, trucizny, męty... pełną czaszą
Do ust naszych niesiemy własną dłonią naszą.
Na los srogi walimy własne nasze winy,
Czoła w dziecinnie śmieszne stroimy wawrzyny,
Wielkość naszą grzmiącemi opiewając strofy!
I chyba kiedyś, w chwili wielkiej katastrofy,
Na zmąconych żywiołów rozszalałej stypie,
Duma nasza uklęknie i w proch się rozsypie.

. . . . . .

http://rcin.org.pl

I po co ja podnoszę te hiobowe skargi?
Od wieków, wielkie serca, wymowniejsze wargi,
Ten sam żal wyrzucały potężniej odemnie...
Jednak godzina myśli nie ginie daremnie.
Potwór pychy tarzając w brudnym, ziemskim pyle,
Człowiek czuje się lepszym choć na małą chwilę.
Wielki Boże litości! Bądź nam miłościwy!
Nie jestem tak naiwny, ani tak fałszywy,
Bym sądził, że to moje ponure biadanie
Bodźcem się do poprawy dla mych bliźnich stanie.
Tak naiwny nie jestem — nie idzie mi o to,
Na tyle otrzaskany jestem z ludzką cnotą,
Że gdybym pragnął odnieść kiedy jaki skutek,
Wiem, że od gromu klątwy, lepszy jest w nos [szczutek;
A broń ta jest mi znaną nie źle, Bogu dzięki.
Jeszcze za nią mieć można lauru na skroń pęki...
Bo ludzka miłość własna jest tak grzeczne zwierzę,
Że dotykalnej prawdy do siebie nie bierze,
Ale ją pod adresem posyła sąsiada.
Przyczem dłonie skwapliwie do oklasków składa.
. . . . . .
To mając na uwadze, bierze mię ochota
Artystycznego u nas dotknąć się żywota,
To jest o indykowskim pomówić teatrze.
Tem śmielej to uczynię, że kiedy się patrzę
Na ten przybytek sztuki i jego chimery,

http://rcin.org.pl

Widzę tam brykające koniki aż cztery.
Toż cokolwiekbądź powiem, jeden z nich podskoczy,
I wierzgnąwszy drugiemu piaskiem sypnie w oczy,
A ja zaś ujdę cało. — Więc koniki owe,
Jakby je tu pogłaskać?... mniej więcej rasowe,
Są: *Publiczność*, — *Artyści*, słodki naród boży,
Prasa z siostrą *Krytyką* i dwaj *Dyrektorzy*.
Żem dotąd objektywny, nikt mi nie zaprzeczy,
Nie wiem wszakże, ciąg dalszy jaki będzie rzeczy.
Mogę się tylko starać, żeby był wesoły.

. . . . . .

W naturze, jak wiadomo, są cztery żywioły,
To jest: ogień i woda, ziemia i powietrze.
Z tych, gdy się rozhukany jeden z drugim zetrze,
Powstaje perturbacya. Lecz o perturbacyi
Będzie potem; a teraz powiem, z jakiej racyi
Zestawiam z żywiołami teatralne sprawy?
Z tej racyi, Redaktorze, jeżeliś ciekawy,
Że jak cztery żywioły, co rządzą przyrodą,
Są albo z sobą w zgodzie, albo też bój wiodą,
Tak i cztery czynniki, o których wspomniałem,
Są indykowskiej sceny i duszą i ciałem.
Przypatrzmy się im bliżej:
Pierwszym, z łaski nieba,
Żywiołem jest *Dyrekcya*, co jak matka gleba,
Dzieli artystom skarby w swem łonie złożone:
Święty zapał do sztuki i miłą mamonę.

http://rcin.org.pl

Czasami, w miarę, jak się uda lub nie uda,
Rodzi mizerne chwasty, albo stwarza cuda.
U nas, jak utrzymują — nie ja — ale ludzie,
Niema nawet i mowy o najmniejszym cudzie.
Co zaś dotyczy kwestyi realnej — mamony,
Nigdy się nie zapuszczam w te fatalne strony,
Bo na widok anemii — me serce zamiera.

. . . . . .

Drugi żywioł: *Publiczność*, czyli atmosfera,
Której dotąd nie może pomieścić się w głowie,
Że siedzi nie w Paryżu, ale w Indykowie,
Więc na wszystko co widzi, na to, czego słucha
Z urojonej wyżyny, zimnym lodem dmucha,
A niosąc na kierunek sceniczny skarg setki,
Chodzi tłumnie na farsy i na operetki,
Gdy na płodach geniuszu scena pustką świeci.

. . . . . .

Z kolei, jako woda, idzie żywioł trzeci,
Bezstronna, pobłażliwa, ojcowska *krytyka*,
I tak czytamy w łamach jednego dziennika:
(Redaktor wróg dyrekcyi). »Teatr niedomaga;
»Wszystko, co dziś dać może idyotyzm i blaga,
»Tośmy widzieli wczoraj, na skarbkowskiej scenie.
»Publicznością miotały: wstręt i oburzenie!
»Dekoracye, kostyumy, orkiestra uboga,
»Wołają wielkim głosem o pomstę do Boga!
»Tak to się nasza scena do upadku kłoni,

http://rcin.org.pl

»Gdy dyrekcya spoczywa w niedołężnej dłoni«.
Drugi zaś wielki dziennik (własność dyrektora)
Pisze: »Dawno nie było takiego wieczora,
»Jaki mieliśmy wczoraj na skarbkowskiej scenie,
»Publicznością miotało boskie uniesienie!
»Dekoracye, kostyumy, orkiestra bogata,
»Nieznane w dziejach sztuki od stworzenia świata,
»Wszystko to jest bezsprzeczną dyrekcyi zasługą,
»Którą publiczność będzie pamiętała długo«.
Ta sama beznamiętność, prawda wody czystej,
Kieruje krytykami w ocenie artysty.
Głaszczą go albo kłóją, w miarę jak osoba
Czyja im się podoba albo nie podoba.
Talent, praca, zasługa — to są dla nich żarty.

. . . . . .

Co ma robić *artysta* — ogień — żywioł czwarty?
Atmosferą lodową publiki owiany,
Mętną wodą krytyki raz po raz zlewany,
Przez ziemię karmicielkę, dyrekcyę, głodzony,
Uchodzi, jako może, w przyjaźniejsze strony,
Leżące hen, daleko poza Indykowem.

. . . . . .

Owóż i perturbacya owa, jednem słowem.
Perturbacya, powtarzam z sercem, pełnem bólu,
A nie, jak to określa nam: »Ptasznik z Tyrolu«,
Gdy go do egzaminu na powrozie wiodą,
A który zapytany, co da ziemia z wodą,

http://rcin.org.pl

W przestworach atmosfery, odrzekł: »a toć błoto«.
Zresztą błoto, turbacya, czy co, mniejsza o to.
Dość, że źle z naszą sceną, co w dobry czas stary
Tak wysoko nam sztuki nosiła sztandary!
Źle się dzieje, lecz kiedyś, będzie lepiej może.

. . . . . .

Ach! prawda, zapomniałem! miłosierny Boże:
Toż mieliśmy ankietę w teatralnej sprawie,
Która z głęboką wiarą odrzekła łaskawie,
Żeśmy powinni scenę przyjąć na koszt kraju!
Ach! Rodociu! Rodociu! ty stary mazgaju!
Po co ci było ciskać marne jeremiady?
Dlaczegoś nie przewidział, że chwile parady
Teatralnej są blizkie? i że grosz krajowy
Ustroi scenę naszą od stóp aż do głowy...
Prawda!... To też, z pokorą uległego syna,
Oświadczam: moja wina! moja wielka wina!
I kompletne uznanie składam tu ankiecie.
A toż w Galicyi złoto wala się jak śmiecie!
Wkrótce już z niem co robić, nie będziem wiedzieli!

. . . . . .

Szkół mamy grubo więcej, niż nauczycieli,
Bo każdy z nich, wysoką płacą żenowany,
Zamiast być profesorem — woli paść barany,
A i przemysł krajowy nie pożąda łaski:
Kwitnie; dowód: makaron, parowe kiełbaski...
Rzeki zaś, w tak żelazną ujęliśmy ścianę,

http://rcin.org.pl

Że brzegi mamy ledwo na milę zalane.
Nie mówię o podatkach, tych nie znamy prawie.
Może się więc ankieta śmiało pluskać w stawie,
Że odkryła nareszcie odpowiednie wrota,
Któremiby zapasy krajowego złota
Odpływały szeroką, niezgłębioną strugą.
. . . . . .
Ach! ankieta! ankieta! Znam ankietę drugą,
Której męże od roku siedzą na urzędzie,
Ale jak na jeziorze drzemiące łabędzie,
Milczą; bowiem nie wiedzą, co rzec, jak i kiedy.
Może los miłosierny wyrwie ich z tej biedy.
Wysadziło ich nasze »Literackie Koło«,
By wynaleźli sposób, w jaki mniej wesoło
Możnaby czas przepędzać w naszem pięknem »Kole«.
Ale ja o tem wszystkiem później pisać wolę.
Później, daleko później, im później, tem lepiej,
Aż się od »Koła« fatum nieszczęsne odczepi,
Aż w niem żywioły młode i niedoświadczone
Poznać zechcą *Wielkości* swojej — mniejszą stronę,
Aż pstrokato-zielona sztuka i nauka
Nareszcie się wygada w onem i wyfuka;
Słowem, aż zacne »Koło« gładko się potoczy.
A tymczasem zamykam i usta i oczy,
Tembardziej jako »Koła« jestem z ojców jeden,
I radbym je zamienić w literacki eden,
W którymby dłonie, w węzeł połączone bratni,

http://rcin.org.pl

Wyswobodziły serce z samolubstwa matni,
W jaką, błądząc samopas, głęboko zapadły!
I w której duch nasz, dzisiaj drżący i wybladły,
Zimnej obojętności tłoczony opoką,
Zapłonąłby miłością i strzelił wysoko
Jak gwiazda, jasnym blaskiem znacząc naszą drogę.

. . . . . .

Kochany Redaktorze! Daruj, że nie mogę
Dłużej pisać, albowiem, jak to już wspomniałem,
Myśl mam zdenerwowaną, a także i ciałem
Nie należę do takich, co są bardzo tędzy,
Zwłaszcza w chwilach, gdy brak mi co nieco pieniędzy.
Bo naówczas, i głowa tak coś, niby pęka,
I brzuszek niedomaga, i noga i ręka...
A że, jak to wiadomo, koło Wielkiej nocy,
Nędzne złoto utrzymać nie jest w ludzkiej mocy,
Więc i list mój dzisiejszy nie ma dość humoru,
Że zaś to nie przynosi zbyt wiele honoru,
Mojej, jak mówi El...y— umysłowej przędzy,
Toż i pisanie lepiej skończyć jak najprędzej.
Żegnaj mi zacny, miły, luby Redaktorze!
W następnym moim liście, bo wiosna na dworze,
Będę bujał po lasach, po łąkach, po niebie,
A chociaż człowiek ręczyć nie może za siebie,
Spodziewam się uniknąć literackiej spiączki.
Pani twej racz odemnie ucałować rączki.

Lwów, kwiecień 1892 r.

http://rcin.org.pl

VI.

Kochany Redaktorze! Byłem w Pawikowie!
Jak Pana Boga kocham! Jak miłe mi zdrowie,
Tak byłem cały tydzień! Byłem i widziałem!
Co? — A no, wszystkom widział. Tak, czarno na
[białem.
Tylko, mój Redaktorze, nie łap mnie za słowo,
To jest za moją mowę tutaj, przysłowiową,
Jeśli mnie doprowadzić nie chcesz do rozpaczy.
Bowiem czarno na białem niekoniecznie znaczy,
Że w Pawikowie bruk jest biały — ludzie czarni,
Broń Boże! Czy to w słońcu, czy to przy latarni,
Prędzej można powiedzieć, że... że... są czerwoni...
Lecz zanim udowodnię ci to jak na dłoni,
Muszę zacząć, jak każdy przyzwoity człowiek
Od początku, to znaczy, od otwarcia powiek
W onym dniu uroczystym, w którym moje ciało
Z wygodnego posłania ściągnięte zostało,
I musiało się umyć, ubrać *et caetera*...
Poczem, wraz z kuferkami wsiadło w *einszpenera*,
Jak tu u nas się mówi, który, choć powoli,

http://rcin.org.pl

Jednakże się wywiązał dzielnie z swojej roli,
I na czas mnie wysadził na dworcu kolei.
Wylazłem pełen słodkich marzeń i nadziei,
Acz pełen niepokoju. Wyrzekłszy to słowo,
Winienem objaśnienie: Koleją państwową
Miałem puścić się w drogę; a kolej państwowa,
Niech ją Bóg miłosierny w swej opiece chowa,
Jakkolwiek jest uczciwą, bo daje frejkarty
Literatom, lecz często takie stroi żarty,
Jak gdyby w Paragwaju gdzieś jakimś chowana.
Mniej więcej co miesiąca, w nocy albo z rana,
Jedna z jej lokomotyw, zgoła bez powodu,
Skacze sobie na drugą, z tyłu albo z przodu,
I po *entrechat* wspaniałem, na ziemi się kładzie;
Rzecz całkiem naturalna, że w takiej paradzie,
Niejeden z pasażerów, wśród trzasku i łomu,
Zapomni nos lub nogę wziąć z sobą do domu.
Stąd to i ów niepokój zagościł w mem łonie,
Gdym ujrzał rząd wagonów długi na peronie.
Wogóle mnie parowa jazda nie zachwyca,
Jestem poniekąd zdania owego szlachcica,
Który, chociaż odwagi pełen i rezonu,
Dał sobie słowo nie wsiąść nigdy do wagonu.
Bo mawiał z twarzą, dumy szkarłatem oblaną:
»Ja nie jestem pies żaden, by na mnie gwizdano«.
Z tem wszystkiem, gdy brzęk dzwonka rozległ się
[po sali

http://rcin.org.pl

Byłem pomiędzy tymi, co we drzwi się pchali,
By zdobyć dobre miejsce, przy oknie w kąciku.
Po chwili, w pośród ścisku, pisku, wrzasku, syku,
Ruszyłem, na Indyków, patrząc tęsknem okiem,
Który niknął, mgły szarej odziany obłokiem...
Aż nareszcie się całkiem rozpłynął w przestrzeni.
Tymczasem mgły opadły i smugi zieleni
Migotały mi w oczach wężowymi skręty.
Tu i owdzie wół albo baran, przelęknięty
Pędzącej i świszczącej maszyny widokiem,
Stał z zadartym ogonem i wpół dzikim wzrokiem,
Gdy inny, obojętny na człowieczą sławę,
Spokojnie szczypał sobie dalej chudą trawę.
W wagonach wonie wiosny zwalczał dym zwycięsko.
Za towarzyszów miałem przeważnie płeć męską;
Bo tylko jedną damę obok — średnio gładką;
Nie wiem, czy była panną, wdową, czy mężatką,
Dość, że była, a zatem już przez samo bycie
Sprawiała, że musiałem siedzieć przyzwoicie,
Co nie stanowi wcale przyjemności drogi.
Ach! zważać bezustannie na ręce i nogi!
Trzymać na wodzy język, oczy, całe ciało...
Kobieta jest istotą piękną i wspaniałą,
Jest piękną i wspaniałą na rodzinnem łonie,
Na balu, na spacerze... tylko nie w wagonie,
Gdzie z mnóstwem pudeł, paczek, woreczków i worów,
Jest rozpaczą podróżnych, plagą konduktorów...

http://rcin.org.pl

Oto-m się rozgawędził!... ale, że w podróży
Gawęda chwile skraca, a i zdrowiu służy,
Zatem jej nie żałuję. I w samej istocie,
Przy tej, że ją tak nazwę szlachetnej robocie,
To jest podróżującej szermierce języków,
Czas zleciał mi jak strzała i wkrótce Pawików,
Milionem gwiazd iskrzący, ujrzałem w oddali,
Albowiem był już wieczór, gdyśmy przyjechali.
. . . . . .
Ach! Pawików! Pawików! Mój Ty mocny Boże!
Jeździłem ja za góry, za lasy, za morze,
Lecz żaden gród nie przypadł mi, jak on do duszy,
To też, gdy ból czy troska serce mi poruszy,
Myśl moja w jego mury starożytne płynie,
W pełne drogich pamiątek groby i świątynie,
Rada, tłumiąc na chwilę, gorycze i żale,
Marzyć o dawnej naszej wielkości i chwale.
. . . . . .
Niegdyś, w zbiegłe niestety, w dawno zbiegłe lata,
Choć nie tak znowu dawne, jak stworzenie świata,
Mieszkałem w Pawikowie, zatem szczegółowo
Mógłbym tutaj wystąpić z akcyą opisową,
O cudach tego miasta, lecz tego nie zrobię,
Bo Pawików nietylko, że jest znany tobie,
Ale i wielu innym, którzy go widzieli,
Popasając w nim chętnie w drodze do kąpieli.
Lękam się obok tego, żeby moje pióro.

http://rcin.org.pl

Dając obrazy tkane złotem i purpurą,
Nie wywróciło kozła, co razy niemało
Nawet wielkim poetom naszym się trafiało,
Gdy opisując drogie sercu ideały,
Tyle na nich cnót kładli i blasku i chwały,
Tyle żółtych, zielonych, złotych, srebrnych tonów,
Że w końcu z nich robili istnych koczkodonów.
Oto dlaczego wolę poprzestać na małem,
I mówić tylko o tem, gdziem był, co widziałem,
I tym podobne rzeczy gospodarskiej miary.
. . . . . .
Na dworcu mnie powitał mój przyjaciel stary
I kolega, Jan Kanty; zaczem nastąpiły
Okrzyki i wykrzyki rozmaitej siły,
Aż nareszcie syt wrażeń, po uściskach wielu,
Znalazłem się szczęśliwie na rynku — w hotelu.
. . . . . .
Pawikowskie hotele w całym świecie słyną.
Toż spałem przewybornie i ledwie z godziną
Dziewiątą wyruszyłem na rozkoszne planty,
Gdzie miał się ze mną spotkać przyjaciel Jan Kanty.
Jako przewodnik w sprawach miasta doświadczony.
Ponieważ mógł z tej albo z tamtej nadejść strony,
Więc, żeby się nie szukać wzajemnie zbyt długo,
Co się zdarza gdy jedna osoba za drugą
W jednym biegną kierunku — poszukałem ławki,
I usiadłem czekając. Dwie przystojne kawki,

http://rcin.org.pl

Siedzące na gałęzi pobliskiego drzewa,
Zakrakały; lecz widząc, że mnie to nie gniewa,
I że mają przed sobą postać w mieście nową,
Grzecznie mnie powitały: jedna pięknie głową,
A druga jeszcze piękniej, jakkolwiek ogonem,
Odpowiedziałem równie uprzejmym ukłonem,
Po którym, jak przystoi, kawki odleciały.
Ja zaś rzuciłem okiem na widok wspaniały
Gmachów, otaczających plantacye w półkole,
I powoli myśl moja, puszczona na wolę,
Zagłębiła się pełna solennej zadumy,
W pawikowskie powagi, cnoty i rozumy,
Aż w końcu zapałała żądzą uroczystą
Zostania filozofem lub ekonomistą,
Co zbrojny w cyfry, liczby, wykazy i daty,
Na ilości wypitej kawy i herbaty
Stawia krajowi program potęgi i sławy.
Czemuż i na mnie rozum nie ma być łaskawy —
Pomyślałem... ja także uczynię odkrycie!
A pragnąc, by mój zamiar szybko przeszedł w życie,
Zacząłem zaraz liczyć, ile się przewinie
Na pawikowskich plantach — psów w jednej godzinie.
Naliczyłem przez kwadrans okrągło dwadzieścia;
A że z indykowskiego już dawniej śródmieścia
Miałem dane, że w części tej samej godziny,
Psów tam przebiega z górą aż cztery tuziny,
Więc zacząłem rozważać, czy też liczba owa

http://rcin.org.pl

Ugruntuje potęgę kiedyś Indykowa,
Czy stanie się przyczyną jego klęsk i troski.
I byłbym pewnie wysnuł kolosalne wnioski,
Gdyby nie mój przyjaciel, który nadszedł z miasta,
A widząc moją pracę, rzekł: głupstwo i basta!
Rzuć do licha te twoje kruczki i węzełki,
Rachunki i frasunki... chodźmy do Hawełki [1]),
Który jest Pawikowa od sześciu lat chwałą.
Chodź tam, orzeźwisz umysł i pokrzepisz ciało,
I kilka chwil przepędzisz zacnie co się zowie.
Każdy, co porządniejszy człowiek w Pawikowie
Musi tam wstąpić na dzień przynajmniej dwa razy;
Powiadam ci: zieleniak, polędwica, zrazy...
Więc poszliśmy i byli, i jedli, i pili,
I wcale przyzwoicie pięć godzin przeżyli.
A bylibyśmy byli — dzień cały bez mała,
Gdyby nie statystyka, która mi siedziała
Wciąż na karku i dała tu obfite plony.
Zacząłem skrzętnie liczyć każdy nos czerwony,
A zebrawszy cennego sporo materyału,
Z uroczego przybytku wyszedłem pomału,
Ażeby ów materyał, ważny i bogaty,
Spokojnie, w życiodajne ująć systematy:
Pracowałem do nocy, i mogę rzec śmiele,
Że to, co postawiłem w tym liście na czele,

[1]) Handel win i delikatesów w Krakowie.

http://rcin.org.pl

Mianowicie twierdzenie: że Pawikowianie
Są czerwoni nie biali, jest nadspodziewanie
Mądrem i pozytywnem... Byli kiedyś biali!
Wszyscy się w białej barwie na zabój kąpali,
Drżąc przed niełaską białych, szanując ich wolę...
Gdy w Drezdeńskim hotelu, przy okrągłym stole,
Piętnaście latek temu, ja i towarzysze,
I kolega Jan Kanty, w obiadową ciszę
Rzucaliśmy żarciki; — słowo wyrzeczone
Przeciwko rządom białych, — słóweczko czerwone,
Sprawiało, że natychmiast jeden... drugi... trzeci...
Z grona naszych przyjaciół, jako grzeczne dzieci,
Wymykali się chyłkiem z hotelowej sali,
Tak, żeśmy w pół godziny sami zostawali,
Ja i Jan Kanty tylko. Dziś inaczej zgoła!
Dziś czerwoni nietylko, że podnoszą czoła,
Ale mszcząc się na niegdyś gniotącym ich losie,
Ostentacyjnie czerwień — wieszają na nosie.
Mówią, że ten cud wielki »*Reforma*« sprawiła,
Gazeta, białej lidze niezupełnie miła.
Być może, — dla mnie jednak jest to jak na dłoni,
Że Pawików zczerwienił — Imci pan Antoni
Hawełka i siedzący naprzeciwko — *Mika* [1]).
Z tego, com tu powiedział, dowodnie wynika:
Że w Pawikowie ludziom czas wesoło płynie.

[1]) Handel win.

http://rcin.org.pl

Że dobrobyt panuje tam w każdej rodzinie,
Że męże są tam dzielni, gościnni, nieskąpi,
Że kochają się czule...

Ciąg dalszy nastąpi.

Lwów, maj 1892 r.

http://rcin.org.pl

VII.

Kochany Redaktorze! Położyłem zdanie
W ostatnim moim liście, że Pawikowianie
Uwielbiają się czule. I tak jest w istocie,
Tylko, że w tej bratersko-serdecznej robocie
Owa gorąca miłość dziwnie się krysztali,
A mianowicie: *białych* — uwielbiają *biali;*
A *czerwoni czerwonych;* i, co idzie potem,
Że *czerwoni* z *białymi* są jako pies z kotem.
Stąd znowu konsekwentnie częstokroć wyrasta
Wspaniała plątanina interesów miasta.
Gdy idzie o drobnostkę, to jeszcze pół biedy,
Rzecz się układa jakoś nieźle; ale kiedy
Na stół wychodzi kwestya nieco cięższej wagi,
Wtedy cały arsenał stronniczej odwagi:
Ambicya, złość, zaciekłość, intryga i plotki
Wygrywają na mieście koncert taki słodki,
Że aż się robi kwaśno.
Wielkiemu poecie
Miano postawić pomnik. Rzecz najprostsza w świecie.
Wysadzono komitet, pisano, gadano,

http://rcin.org.pl

Ogłoszono konkursa, a na plac obrano
Rynek albo plantacye. Owóż tedy *biali*,
Planty za odpowiednie na pomnik obrali.
Rzecz całkiem naturalna, że zwartym ordynkiem
Czerwoni, na złość białym, ryknęli za rynkiem.
A że zwycięstwo zwykle temu się narzuca,
Kto ma najtęższe gardło i najtęższe płuca,
Więc wygrali *czerwoni* i wnet swoją władzą
Wiekopomnego męża na rynku posadzą.
Na pawikowskim rynku, gdzie na wszystkie strony
Olbrzymią masą gmachów będzie przytłoczony,
I gdzie wieszcz, który światu rzucał święte hasła
Będzie patrzał na baby z garnuszkami masła.
W tej aferze zapytać można: czyja wina?
Tego, co sił nie znając swych, walkę zaczyna.
Zatem białych; albowiem, gdyby byli biali
Tak jasno przy plantacyach się nie upierali,
A przeciwnie za rynkiem gardłowali sami,
Poeta by nie siedział między przekupkami.
Owo jak polityczne nieraz konjunktury
Zdrowy sens przewracają nogami do góry.

. . . . . .

Z tem wszystkiem łaska Boża ponad Pawikowem
Rozpościera swe skrzydła i coraz to nowem
Darzy go dobrodziejstwem; — że o jednem wspomnę:
»Czapka z głowy panowie!«

Takie było skromne

http://rcin.org.pl

W Indykowie życzenie pewnego krytyka,
Którego zachwyciła pewna gramatyka.
Czy rzeczywiście ona była tak wspaniałą,
Czy krytykowi tylko tak się wydawało,
Nie wiem, bo ortografia moja, nieraz ucha,
Niż etymologicznych recept, chętniej słucha.
Wiem tylko, że niewielu chciało wpaść w pułapkę,
I że przed gramatyką mało kto zdjął czapkę.
Taki to bywa skutek zbytniego rozmachu,
A jednak, ja to samo zawołam, bez strachu:
— Czapka z głowy panowie! — przed mężem ofiary,
Który rzuciwszy na bok polityczne swary,
Oddał się na usługi nękanej ludzkości.
Więc widząc, jak ją szarpią dzikie namiętności,
I jak życiowa walka, kipiąca bez przerwy,
Coraz bardziej rozstraja jej niesforne nerwy,
Postanowił zło zwalczać już w samym zarodzie.
I oto park zakłada; i w parku, w ogrodzie,
Gromadzi tysiącami miejską dziatwę małą,
Igrzyskami umacnia wątłe, drobne ciało,
Opieką na karności opartą i ładzie,
Ziarno bratniej miłości w młode serca kładzie.
Rzecz prosta, ale w jaki piękny plon bogata!
Niech ten przykład obiegnie wszystkie kąty świata,
A ujrzymy, zaledwie spłynie lat niewiele,
Jak zdrowa dusza w zdrowem zamieszkała ciele,
Umysł ludzki, tak dzisiaj do wywrotu skory,

http://rcin.org.pl

Z manowców, na uczciwej pracy zwróci tory.
Kto myśl tę wielką powziął i w życie wprowadza?
Czy milionów potęga? Czy społeczna władza?
Nie, to jednostka, lekarz, człowiek dobrej woli [1]),
Którego nędza ludzka i łza ludzka boli;
A który na pożytek współbliźnich obraca
Każdy grosz, jaki ciężka przynosi mu praca.
Nazwisko jego Jordan. Niech je w pokolenia
Najdalsze, zasłużona chwała opromienia.
I daj mu dobry Boże, w setne lata zdrowie.

. . . . . .

Kochany Redaktorze! Czy o Pawikowie
Mam jeszcze dalej pisać? Wprawdzie nie mam chęci,
Ale jest jeden przedmiot, co mnie mocno nęci.
Co tam nęci! Na sercu leży mi kamieniem!
Jako Bóg żywy! Mogęż pominąć milczeniem
Pawikowskie niewiasty? Nie, nigdy na świecie!
Jednak tyle-m już w życiu pisał o kobiecie,
O potędze jej oczu i powabach kształtu,
Że dziś nie wiem, jak zacząć... aha! już wiem; gwałtu!
Tak, gwałtu! będę wołał, aż mej myśli cienie
Rozprószę, i za uszy przyciągnę natchnienie.
Owóż i przyciągnąłem, — to się nieraz zdarza...
Jeszcze jakie natchnienie! W komedyopisarza [2])

[1]) Dr. Henryk Jordan, profesor Uniwersytetu, wielki filantrop i założyciel Parku w Krakowie.

[2]) Bałucki Michał.

http://rcin.org.pl

Dzielną postać, zaklętą, którego nazwiska
Jednakowoż nie zdradzę, chociaż go znam z blizka.
Ten rzekł: chcesz pawikowską poznać białogłowę,
Uważaj jej oblicze... ma być kwadratowe;
Kwadratowe, powiedział, czyli to zaś cnotą
Miało być, czyli wadą — nie pytałem o to.
Co do mnie jednak, powiem z otwartością całą,
Że mi to określenie mniej się podobało,
Ile, żem w Pawikowie widział niewiast lica,
Tak pulchne i okrągłe, jak pełnia księżyca,
I jeśli już koniecznie pawikowskie panie,
Muszą przyjąć jakowe piękne porównanie,
To już wolę położyć tu kwieciste słowo,
Że wyglądają nieco... niby... piwoniowo.
To jest, że choć z jednakowej utworzone tkanki,
Nie są tak eteryczne, jak indykowianki.
Co jednak nie umniejsza w niczem ich zasługi.
Zawsze musi być pierwszy ktoś — a potem drugi.
Więc i Pawików, mimo wszelkiej kwadratury,
Ma dzielne, miłe, zacne i przyjemne córy.

. . . . . .

A teraz, Pawikowie, żegnaj mi, kochany!
Jeśli los da mi ujrzeć jeszcze twoje ściany,
Porządniej je opiszę, niż to dzisiaj robię;
Co najmniej, to poświęcę dziesięć listów tobie.
Dziś jednakże nie mogę, z przyczyny, że pora
Jest niezmiernie gorąca, a i Redaktora

http://rcin.org.pl

Mego strasznie się boję; albowiem go złości,
Jeśli list mój zanadto ma jednostajności:
Jest on mężczyzną — zatem — wszelaka odmiana,
Z samej natury rzeczy jest mu pożądana,
Zwłaszcza, jeśli... ten... tego... prawda Redaktorze?
Że ty lubisz odmianę?... chcesz, to się założę.
A tymczasem brnę dalej — już po Indykowie.
I dla rozmaitości, znów o białogłowie
Co nieco ci napiszę — rzecz jednak ciekawą,
Tem ciekawszą, że łączność ma z twoją Warszawą.
Owóż, chcę ci coś donieść o pannie Jadwidze,
Naturalnie Czakównie... Czekaj, bo już widzę,
Jak wzruszasz ramionami i myślisz: baj, baju,
Jadwiga w Indykowie była sobie w maju,
A on mi pisze teraz o niej — w dwa miesiące!
Nieprawda! Wnet ci twoją logikę roztrącę.
Więc naprzód, że me listy, dzięki twej opiece,
Całymi miesiącami leżą w twojej tece,
Zanim je raczysz czytać — nie moja w tem wina.
A potem, gdy w grę wchodzi powabna dziewczyna,
Pisać o jej uroku nigdy późno nie jest,
Zapisz to sobie dobrze w pamięciowy rejestr,
I słuchaj ze skupieniem, bo to na legendę
Przecudowną zakrawa — o czem mówić będę.
Owóż panna Czakówna, jak rzekłem — Jadwiga,
Urocza jak rusałka, żywa jako fryga,
Gościnnymi występy na tutejszej scenie,

http://rcin.org.pl

Wzbudzała taki zachwyt i rozkoszne drżenie,
Że szalał za nią cały, po prostu, Indyków.
Ale to rzecz nie moja jest, tylko krytyków,
Którzy w pełne uroku uwikłani sidła,
Jednogłośnie palili artystce kadzidła.
Sam czytałem recenzyi cztery i czterdzieści!
Niczem »Tysiąca Nocy i Jednej« — powieści!
A ile indykowskich wieszczów i poetów,
Na jej cześć wysypało hymnów i sonetów,
Niktby tego nie spisał na wołowej skórze.
Były wązkie, szerokie, i małe, i duże...
A duch wiał od nich wzniosły i wspaniały taki,
Że się wszystkie kończyły rymami na *aki*.
Powtarzać ich nie będę, bom jest przekonany,
Że ty panny Jadwigi talentu arkany
Znasz lepiej od nas wszystkich. Tylko powiem jeszcze
To, czego nie podnieśli krytycy i wieszcze:
Sposobu, w jaki wiersze wygłasza z estrady.
Jeszczem w życiu nie widział podobnej parady!
Słyszałem ją na raucie w »Kole literackiem«,
Mówię ci Redaktorze, tylko upaść plackiem!
Mówiła coś o kotkach... a z taką prostotą,
Z taką swobodą ruchów, naiwnością złotą,
Tak serdecznie oddała dziewczęcą swawolę,
Jakby o dramatycznej nie wiedziała szkole.
Ach! ta szkoła! ta szkoła! Słyszałem aktorów,
Ba! dramatycznej szkoły samych profesorów...

http://rcin.org.pl

Niech im Bóg nie pamięta! Ich ryki i grzmoty,
Ich szepty, jęki, stęki, ich oczu zawroty
Sprawiają tak podniosłą biesiadę dla ducha,
Że zwykle w tragi-chwili człek śmiechem wybucha.
I nic ich nie przekona, drwiny ani rada,
Że inna rzecz jest scena, a inna estrada.
Lecz wracam do przedmiotu, do panny Jadwigi.
Ta, zstępując z estrady, uczyniła dygi
Z taką porywającą słodyczą i gracyą,
Że stu mężów krzyknęło: Uczcić ją kolacyą!
Zaczem wniesiono stoły, zastawę wspaniałą...
Wprawdzie wina i chleba nieco brakowało,
Lecz w tym względzie nikogo nie bolała głowa,
Bo uczta literacka była — więc duchowa.
To też zionął duch ogniem długo po północy!
Poczem pannę Jadwigę, w wspaniałej karocy,
W asystencyi dwóch mężów wybranych wśród wielu,
Odwieziono do domu, w Imperial-hotelu;
Przed którym owi męże, choć im marzły uszy,
Stali w białych krawatach i bez kapeluszy,
Dokąd drzwi za artystką nie trzasły z łoskotem.
Co się w sercach tych mężów działo, rano, potem,
Czy niezgaszonem dotąd wciąż płoną zarzewiem?
Tego ci nie napiszę — albowiem sam nie wiem.
Tak to wątek powieści rwie się i przepada
Na tym padole płaczu. Jaka na to rada?
Jedna tylko: zbytecznie umysłu nie trwożyć,

http://rcin.org.pl

Zapalić papierosa i... spać się położyć.
Co też uczynić myślę; — ile, że mamony
Niewiele zarobiwszy, humorem znużony,
Nie mogę dnia po pracy zakończyć mniej skromnie.
Bywaj zdrów Redaktorze! i pamiętaj o mnie.

Lwów, czerwiec 1892 r.

http://rcin.org.pl

VIII.

Kochany Redaktorze! Co ty myślisz o mnie,
Żem tak przecudnie milczał? — Pewnie, że ogromnie
Jestem zapracowany, albo żem jest chory;
Albo też, że umknąłem za lasy i bory...
Ani to, ani owo. Siedzę w Indykowie,
Jem, spię, chodzę, jak zwykle mam w porządku
Tylko jakaś potęga dzika i ponura [zdrowie...
Unosi się nademną i pędzi od pióra —
Literackie lenistwo — określając ściślej.
Miesiąc spędzając na wsi, dałem urlop myśli,
Która tą niespodzianką tak się rozczuliła,
Że potem w Indykowie żadna ludzka siła
Nie mogła jej zasadzić do żadnej roboty.
Aż nareszcie, gdy pierzchnął słońca promień złoty,
Zagnana mgłą zimową między cztery ściany,
Musiała w końcu rzucić żywot rozhukany,
I usiąść przy stoliku.
Rzecz dziwna zaiste!
Ile razy przyrody życie wiekuiste

http://rcin.org.pl

Wre i kipi koło mnie, — patrząc na te czary,
Ja znudzony, przeżyty, wyziębiony, stary,
Chociażby mnie animusz pędził jak najszczerszy,
Nie jestem w stanie sklecić kilkunastu wierszy.
Aż dopiero gdy zima, — smutny anioł Boży,
Owe cuda spowije i do snu ułoży,
Kiedy z ludźmi obcuję więcej, niż z naturą,
Mogę bazgrać bez końca. To też chwytam pióro,
Aby Cię Redaktorze, tu, na tej bibule,
Przeprosić za milczenie i pozdrowić czule;
A oraz zaopatrzyć w plotki i nowiny
Z naszej lubej, rozkoszno-sławetnej doliny.
Więc donoszę, że u nas taka była słota,
Że Indyków wyglądał, jako lawa błota;
W którem dwóch ojców miasta, znanych z pięknej
[tuszy,
W samym środku stolicy ugrzęzło po uszy.
Wyciągnięto ich przecie. — Stąd wrzawa nie lada
Na magistrat. Ten w strachu na wielką myśl wpada,
I woła, że Indyków w kwadrans będzie czysty;
Sprowadza z za rogatek wiatr i mróz siarczysty,
Dalej śniegiem leciuchnym nierówności kryje,
I tak wrogów pobija na łeb i na szyję.
Ot co jest sprawy miasta traktować szeroko,
I w naglących wypadkach mieć genialne oko.
Teraz jestem spokojny, że tak samo w lecie
Magistrat nam w godzinę błoto i pył zmiecie,

http://rcin.org.pl

Bez łopaty i miotły — sprowadzając słońce.
Tak tu u nas porządku wiąże się dwa końce,
Tylko znów Redaktorze, nie myśl, by Indyków
Stał wiedzą magistrackich naszych dostojników.
Bo jeżeli ich rozum nad poziom wyrasta,
To rodzi go wspaniały geniusz ojców miasta,
Których jest *sto* i którzy rządzą magistratem.
Nie jestem z nich żadnego bratem ani swatem,
Twierdzę jednak, że mądrość ich jest taka wściekła,
Że przed nią prosta, ludzka logika uciekła
Gdzie pieprz rośnie, słabością własną przerażona.
Dam ci maleńki przykład, który Cię przekona:
Nad *czasem* w radzie miejskiej toczy się debata
Średnio-europejskim; ma go już pół świata,
Jako zgodny z rozsądkiem i ludzką potrzebą;
Ale przesławna rada jest o całe niebo
Wyższa nad Europę; — więc rzekła: »Nic z tego!
»Ja nie chcę mieć z rozsądkiem jakimś nic wspólnego!
»Dla mnie mój spryt wystarcza, tak jak do tej pory,
»Zobaczycie, jak wkrótce wypadną wybory,
»Kto zwycięży!« — I racya. Zanosi się na to,
Że ażeby wybory nie poszły *staccato*,
Każdy, który narzędziem nie chce być niczyjem,
Będzie musiał do urny przystępować — z kijem.
No i cóż Redaktorze? pewnie myślisz sobie,
Ej, coś tam musi leżeć w tym radzieckim żłobie,
Że się ludzie doń pchają. — Być może, co do mnie,

http://rcin.org.pl

To jestem przekonany, poniekąd niezłomnie,
Że ofiarna chęć pracy, jedna tylko zmusza
Obywateli naszych pchać się do ratusza.
Zresztą wszystko mi jedno, czy mniej więcej ładnie
Któremu z ojców miasta, coś kapnie lub spadnie,
Bom nigdy radnym nie był, a no i nie będę,
Najlepiej więc gdy urwę w tym sensie gawędę,
I zapuszczę się w nieco przyzwoitsze sfery.
Ot naprzykład w teatrze, mógłbym być ze cztery
I to co najmniej razy, — gdyby nie brak chęci.
Ach! jakiebym obrazy kształtował w pamięci!...
Choć i tak wiem co nieco: jako »Chamska Dusza«
Szlachtę w kwadrans gadaniem do poprawy zmusza,
Jak się na scenie cudna »Lirniczka« rozbiera,
Cudna, ale przystara — nie tęga afera...
Słyszałem o tem wszystkiem w »Literackiem Kole«
Od sławnych recenzentów, których stokroć wolę
Słuchać, niżeli czytać; raz, że mówią krótko,
Gdy potem o tem samem stronicę calutką
Zabazgrzą; — a i prawdę choć czasem usłyszę,
Kiedy w druku ta prawda zapada gdzieś w ciszę,
I sztukę w miarę tego, co mu jest podnietą,
Ten zowie arcydziełem, a drugi tandetą;
Trzeci zaś pisze o niej zielono-pstrokato.
. . . . . .
Cóż u starego dyabła! Czyż mnie nie stać na to,
Bym o czem lepszem pisał, niźli o krytyce?

http://rcin.org.pl

Toż dosyć rzucić okiem przed siebie w ulice,
By pochwycić materyał dobry do gawędy.
A jednak zwracam oczy tędy i owędy,
I widzę tylko temat szaroburo-łzawy.
Dlatego wolę skoczyć do Twojej Warszawy,
I krzyknąć: Redaktorze!
Niezwykła nowina!
Pisała do mnie liścik, kto? — Pani *Lucyna!*
Nazwiska nie wymieniam. O święty Zbigniewie!
Czy jest kto w Europie, który o niem nie wie?
Zresztą mogę powiedzieć, jeśli idzie o to,
Albowiem dobra wola jest najpierwszą cnotą,
Jaką uczynne serce moje w głębi chowa.
A więc pani Lucyna Ćwierczakiewiczowa
Pisała liścik do mnie; nadto, prócz liścika,
Przysłała mi egzemplarz swego *Poradnika*
»Domowego porządku« dla młodych mężatek.
Co prawda, to minęło odtąd sporo latek,
Gdym był młodą mężatką, to jest moja żona,
Lecz, że każda nauka jest rzecz niestracona,
Więc książkę przeczytałem od deski do deski.
Boże Ty miłosierny! Ojcze ty niebieski!
Czego tam niema! Wszystko! Jak się czyści buty.
Jak ratować człowieka, gdy leży otruty,
Albo smarować palec, gdy jest odziębiony,
Jak tępić brzydkie szwaby czyli karakony,
Jak się wywabia plama kwaśna albo tłusta,

http://rcin.org.pl

Jak malować nos, oczy, policzki i usta,
Jak prasować pończochy, krawatki, rękawki,
Jak pielęgnować kwiaty, hodować pijawki...
Słowem jest wszystko, czego pragnie ludzka dusza.
Ja sam, gdy od pantofli aż do kapelusza
Odplamiłem się według tego poradnika,
Wyglądam tak wspaniale, że wczoraj kronika
Indykowskich dzienników fakt ten niebywały
Opisała z zachwytem; a Indyków cały
Ogląda mnie i zbiera sobie ze mnie wzorki.
Dlatego jestem zdania szanownej autorki,
Że każda szanująca siebie gospodyni,
Mieć »Poradnik« powinna; i że źle ten czyni,
Kto, żałując garsteczki obrzydłej mamony,
Ma dom pełen prusaków i surdut splamiony.
Zastrzedz się jednak muszę, że te wszystkie plamy
Bynajmniej nie wywabiam w rodzaju reklamy
Dla szanownej i zacnej Imć pani Lucyny;
A to dla arcyważnej i prostej przyczyny,
Że jej nie potrzebuje. Wśród literatury
Naszej, przetrząsłszy całą od dołu do góry,
Czy znajdziemy chociażby jedno arcydzieło,
Któreby choć cząsteczkę tych rubli zgarnęło,
Ile ich napędziły przepisy, obiady,
Roczniki, poradniki i inne parady
Pomysłowej autorce? To też dziś jedynie
Dlatego tylko piszę o pani Lucynie,

http://rcin.org.pl

Że ją znam od lat wielu; że do jej imienia
Wiążą mnie lat młodzieńczych losy i wspomnienia,
Żem w jej salonach poznał głośnej dotąd sławy
Mężów najznakomitszych ówczesnej Warszawy;
Bo każdy z nich, gdy znalazł wolniejszą godzinkę,
Szedł tam na dobre serce i przedobrą szynkę.
Byłaż bo to kobietka! — żwawa i wesoła,
Niebojąca się dyabła, a tem mniej anioła,
Przystojna, wykształcona, serdeczna jak rzadko.
Poznałem ją rozwódką, a potem mężatką,
Za panem Stanisławem. Był to mój druh stary,
Panie świeć jego duszy! — pełen taktu, miary,
I tej rzadkiej powagi z słodyczą złączonej,
Która tak łagodziła zbytnią krewkość żony,
Że nigdy myśl nie przyszła do głowy nikomu
Złego słówka powiedzieć o ich zacnym domu.

. . . . . .

Dziś zdarza mi się słyszeć, różne anegdoty
O Imć pani Lucynie. Mój Ty Jezu złoty!
Jedna głupsza od drugiej! Szereg kłamstw i bredni!
Pani Lucyny umysł nie był tak powszedni,
Jak się komu wydaje; — i chociaż w istocie
Humor jej nie raz innych pogrążał w kłopocie,
Wszystko się działo jednak jakoś dziwnie składnie,
I zawsze odrobina serca była na dnie.
To też nie dziw, że młodzi, wielcy, średni, mali,
Wszyscyśmy się potrosze w niej podkochiwali.

http://rcin.org.pl

A że nas było tylu, ile w morzu piasku,
Więc miłość naszą wodził — platonizm na pasku.
. . . . . .
Był między nami piękny jak cherubin *Bronek*,
Temu było za mało platonicznych mrzonek,
Więc się puścił na listy; — i pani Lucyna
W krótkim czasie ich miała z półtora tuzina.
Właśnie wypadł bal u niej; więc, jak się należy,
Przedtem odbył się przegląd tańczącej młodzieży;
Która dostała rozkaz, krótko węzłowato
Stawić się punkt dziewiąta — przed samą herbatą.
Rzecz jasna, żeśmy wszyscy, z oznaczoną chwilką,
Stanęli do apelu: brakło — Bronka tylko.
Ten przybył po północy; bo jak mi mówiono,
Gdzieindziej miał się poznać z przyszłą swoją żoną.
Owóż, gdy się ukazał, a pani Lucyna
Spojrzała na zegarek, że pierwsza godzina,
Wpadła w pasyę okrutną. Toż gdy Bronek miły
Wykręcał, że go losy do tego zmusiły,
Pani Lucyna pędzi prosto do komody
I wraca z paczką listów. Klękajcie narody,
Co za wspaniały widok był i uroczysty.
Pani Lucyna brała po kolei listy,
I ciskając na ziemię, wołała: »Tak robię!
Masz, masz, masz, twoje *kocham;* masz, masz, za-
[bierz sobie«...
A nieszczęśliwy Bronek stał z miną biedaka,

http://rcin.org.pl

I co który list frunął, chował go do fraka.
Nareszcie się skończyła ta chwila ponura.
Więc gdy w końcu usłyszał: »ruszaj do mazura«,
Rozpromieniony sunął na oślep po sali,
I wywijał, że aż się wszyscy dyabli śmiali.
I wszystkim było dobrze, wesoło i miło,
I nikomu się dziwić nawet ani śniło,
A tem mniej lekkomyślnie bliźnich nurzać w brudzie.
Takie to były czasy, tacy byli ludzie.

. . . . . .

Mógłbym rzec jeszcze wiele o pani Lucynie,
Lecz boję się, by dając mojej bazgraninie
Do marszów i kontrmarszów zbyt obszerne pole,
Nie powiedzieć zanadto »co się dzieje w szkole«...
Więc kończę, oświadczając, że o ile chrobrą,
O tyle jest niewiastą serdeczną i dobrą,
Imci pani Lucyna Ćwierczakiewiczowa.
Niech ją Bóg miłościwy w dobrem zdrowiu chowa,
Zarówno jak i Ciebie, zacny Redaktorze.
Do miłej pogadanki — za miesiąc — daj Boże!

Lwów, wrzesień 1892 r.

http://rcin.org.pl

IX.

Kochany Redaktorze! Otóż i Rok Nowy!
Z pewnością nie dotrzyma nawet i połowy
Tego, co obiecuje. — Czem zaś on się chwali,
Opowiem Ci dokładnie, tylko nieco dalej.
Wprzód bowiem, obowiązek mam czarno na białem,
Objaśnić Cię, dlaczego mu nie zaufałem.
Dlatego, że się z dziwnych jakichś cyfer składa:
Jedynka — kij. Dziękuję. Ósemka — wąż, — zdrada.
Dziewiątka — stara panna. Trójka — trójprzymierze,
Które ostatni szeląg z kieszeni nam bierze...
Bardzo miła kompania, słodka jak ananas,
Ująwszy się za ręce, maszeruje na nas...
Cóż dziwnego, że wobec takiej konjunktury
Ściele się w mojej duszy horoskop ponury?
Zresztą może się mylę i Rok Nowy może,
Na przekór mnie, szczęśliwy będzie — co daj Boże!
Wracam jednak do rzeczy. Owóż z Nowym Rokiem
Przeróżne dobrodziejstwa mają spaść potokiem
Na nasze indykowskie głowy — czy indycze,
Do których, jako jedno z najcenniejszych liczę:

http://rcin.org.pl

Wielkie ulgi w podatkach — od psów. Jest to, panie,
Rzecz dla rozwoju miasta ważna niesłychanie.
Bo czemże miasta stoją? — Frekwencyą gości.
Czegóż ci pragną? — Juścić że osobliwości.
Któreż miasto na świecie ma tego monopol,
Rzecz jasna jak na dłoni, że Konstantynopol,
Który roi się psami. Więc skoro Indyków
Rozmnoży w swoich murach buldogów, jamników,
Szpiców, wyżłów, brytanów, choć ze sto tysięcy,
To za rok, za pół roku, za kilka miesięcy,
Będzie gośćmi całego świata natłoczony,
I będzie syt rozumu, sławy i mamony.
Przytem, jaka pociecha stąd popłynie słodka!
Dziś, gdy świat jest fałszywy i ostry jak szczotka,
Gdy rodzonemu bratu zaufać nie można,
Rzecz całkiem naturalna, prosta i nie zdrożna,
Że człowiek miłość bratnią silnie trzyma w ryzie,
I szuka przyjaciela — w psie, — aż go ugryzie
Albo się też nie wścieknie. Lecz, że ta szkarada,
Najznakomitszych mężów społecznych napada,
Więc wstydu dla psów niema; skąd znowu wycieka,
Że nie o wiele mniej wart jest — pies, od człowieka.
Ot, do czego dedukcya doprowadza ścisła.

. . . . . .

Inna myśl, jaka w głowach indykowskich błysła,
To jest w głowie jednego wielkiego Indyka,
Jest złamanie zapory, jaka nam zamyka

http://rcin.org.pl

Gościniec do małżeństwa. — Bądźmy sprawiedliwi:
Chęć małżeńskich rozkoszy każdy młodzian żywi;
Lecz żenić się nie może, z tej prostej przyczyny,
Że w pięknych dzisiaj czasach greki i łaciny,
W trzydziestym roku życia, widzi się, niestety!
Bardzo humanitarnym — ale bez monety.
Więc nie chcąc, aby żywot minął mu się marnie,
Musi, całkiem logicznie i humanitarnie,
Szukać nie miłej sobie żony, lecz posagu.
Otóż na miejskiej radzie, *vel* areopagu,
Ma ów Indykowianin, nim się czasy zmienią,
To jest nim zrównoważy się rozum z kieszenią,
Wspaniały w swej prostocie podnieść projekt, który
Wszelakie posagowe dzisiaj procedury,
Wątpliwości, przeszpiegi, żal, gorycz, pogłoski,
Fikcyjne kapitały, kamienice, wioski,
Słowem tysiączne głogi, kąkole i ciernie,
Przeciąć nader praktycznie a i filuternie.
Oto magistrat winien sporządzić staranny
Wykaz posagu każdej indykowskiej panny.
I stosownie do tego, jakie jest jej wiano,
Dać jej kokardkę piękną i ostemplowaną,
Której kolor niebieski, biały lub czerwony
Będzie oznaczał setki, tysiące, miliony...
A która, zamiast kwiatka, przypięta do łona
Indykowskiej dziewicy, — każdego przekona
I w sposób niezawodny ostrzeże, jak, kiedy,

http://rcin.org.pl

Oraz, gdzie ma się puścić, by uniknąć biedy,
Rzecz jasna, monetarnej; bo co się dotyczy
Wszelkich ości — miłości — to się dziś nie liczy.
. . . . . .
Te dwie powyższe sprawy: psia i posagowa,
Jakkolwiek bardzo ważne są dla Indykowa,
Jednakże wyglądają nieledwie że czarno,
W porównaniu z nowelą, czy ustawą karną,
Którą kuje w tej chwili parlament we Wiedniu,
A której wprowadzenia jesteśmy w przededniu.
Nie mam zamiaru kreślić tu jej kolorytu,
Wspomnę tylko, że w kwestyi podstaw dobrobytu
Przedstawia się nadzwyczaj świetnie i wspaniale,
Tak, że wkrótce możemy osiąść w kryminale
Wszyscy, całkiem bezpłatnie. Lecz co mnie zachwyca,
To dwie poprawki, jakie podobno lewica,
Czy też prawica, stawia do nowej ustawy,
A które właśnie wielkie dobrobytu sprawy
Posuwają do szczytu.
Wiadomo dokładnie,
Że dzisiaj, gdy na kogo łaska losu padnie,
To jest, gdy kto dostanie — w papę, taki za to
Otrzyma pięć guldenów. Owóż tedy z datą
Nowej ustawy karnej, ma być papo-bicie
Otaksowane u nas bardziej należycie.
A mianowicie: setką koron lub czerwieńców.
Rzecz całkiem racyonalna. Słyszałem młodzieńców,

http://rcin.org.pl

Którzy już *a priori* myślą o żenieniu.
Bo liczmy, powiadają, tylko w przybliżeniu,
To dostawszy po papie raz na dwa tygodnie,
Możnaby się urządzić już wcale wygodnie;
Cóż dopiero raz w tydzień, gdy szczęście posłuży!
Powoli, mógłby człowiek, jako taki duży
Uciułać kapitalik! aż apetyt chwyta!
. . . . . .
Druga poprawka bardziej jeszcze znakomita.
Idzie, ni mniej, ni więcej, jak tylko o skalę
Zbrodni, za jaką można siedzieć w kryminale.
Skalę, coby tym, którzy mają spryt i wolę,
Dała szersze, niż dotąd, działalności pole,
A oraz bardziej zgodną była z duchem czasu.
Żąda więc nowy projekt, skromnie, bez hałasu,
By oznaczone było *maximum* kradzieży.
To jest, że jeśli który z społecznych szermierzy,
Nie byle bagatelkę, lecz sporą garść skradnie,
To mu za ten figielek włos z głowy nie spadnie.
Ostatecznie, *maximum* będzie zależało
Od krainy, czy więcej jest lub mniej wspaniałą.
W takim naprzykład Wiedniu, gładko a z ostrożna,
Okrąglutki milionik capnąć będzie można...
W Indykowie *maximum* ma być sto tysięcy.
Zje dyabła, kto potrafi u nas ukraść więcej!
Przynajmniej dziś, bo dawniej... bywali mężowie...
Ale co mi po dawnym brodzić Indykowie!

http://rcin.org.pl

Ja go miłuję takim, jakim jest w tej chwili.
Dlatego dusza moja desperacko kwili,
I czeka z utęsknieniem, i wita z zapałem
Wszystkie cztery projekty, które opisałem.
Co to za życie będzie wonczas w Indykowie!
Zanikną stare panny i kawalerowie.
Będzie można z opuchłem co nieco obliczem,
Lub z przydeptaną sławą, nie trudniąc się niczem,
Żyć wcale przyzwoicie, a nawet dostatnio,
Gromady psów zaszczepią wśród nas miłość bratnią.
Gwałtu! serce mi skacze, rwie się i weseli!
. . . . . .
A jeżeli, broń Boże, Rok Nowy... jeżeli
Łudzi nas tylko miłą nadzieją i marną,
I da jedynie figę i ustawę karną,
Która nas po kolei ma ciągnąć do kozy?
Ha, trudno, pal go licho! przynajmniej z tej grozy
Popłynie piękny przykład dla innych narodów,
Jak można bez awantur, bez walk i zachodów
Jedną nowelą sprawy żywotne ludzkości,
Oprzeć na czystem prawie i sprawiedliwości
Sąmbym tego nie wiedział, gdyby nie logika
Pewnego wielkiej sławy i głowy prawnika,
Który mawiał o bliźnich: »Czy wiesz co ja myślę?
»Oto, zważywszy całe społeczeństwo ściśle,
»Składa się ono z takich, bez żadnego ale,
»Co byli, są, albo też będą w kryminale«.

http://rcin.org.pl

Czegóż więcej potrzeba dla ludzkiej pociechy?
Darujmyż sobie wzajem urazy i grzechy,
I bądźmy pełni dumy, że w społecznej pracy,
Nie jacyś tam jesteśmy, ale właśnie tacy.
I że, jakiebądź zechce zesłać nam orędzie
Rok dziewięćdziesiąt trzeci — to — jakoś to będzie.

. . . . . .

Nareszcie natrafiłem na porządne zdanie,
Które, sądzę, za wszelką filozofię stanie.
Tak jest: *Jakoś to będzie;* — rzecz jasna, jak słońce;
A to, że owe miłe *jakoś*, ma dwa końce,
I że zwykle ludziskom staje w gardle kością...
Cóż to jest w porównaniu — chociażby z wiecznością?
Owóż, widząc, że wlazłszy nawet w mędrca togę,
Nic bardziej proroczego napisać nie mogę,
Kończę, niosąc życzenia, aby z datą nową,
To *jakoś* nam przypadło zdrowo i różowo,
Bo jeśli z nieprzystojną wystąpi zabawą,
To go natychmiast karną w łeb trzasnę ustawą,
I zawlokę do kozy, gdzie brzydki bandyta
Zmarnieje na wiek wieków. — Ot, co jest i kwita.

Lwów, w styczniu 1893.

http://rcin.org.pl

X.

Kochany Redaktorze! Jakkolwiek szalenie
Kocham Ciebie, szanuję, uwielbiam i cenię,
Jednak są chwile, w których bierze mnie chęć wściekła
Posłać twoją osobę na samo dno piekła.
Niedaleko szukając, dziś mam takie chęci,
Przeczytawszy w *Kuryerze* mój świętej pamięci
List *dziewiąty*, podany wprzód, a *ósmy* potem,
Skąd list ów z zdrowym sensem, jest jako pies
[z kotem.
Otóż muszę Cię ostrzedz, miły Redaktorze,
Że na przyszłość Ci żadne *ale* nie pomoże;
I jeśli list mój który pójdzie mylnym szlakiem,
»Odpowiesz za to głową lub czemś podobnem
[takiem«,
Jak to w »Lukrecyi Borgii« librecista straszy
Walecznego rycerza. A chociaż z tej kaszy
Literackiej się śmieją, ja oświadczam śmiało,
Że nie jest znów tak głupią, jakby się zdawało.
Bo jakkolwiekbądź groźba pod utratą głowy
Jest skuteczną i każdy uledz jej gotowy,

http://rcin.org.pl

Jednakże tylko taki, co głowę posiada;
Ale, że bardzo liczna społeczna gromada
Bez onej części ciała jest — a zamiast tego,
Z jak największą pewnością ma *coś podobnego*,
Więc chcąc trzymać na wodzy kogo, z głowy brakiem,
Musi mu się zagrozić *czemś podobnem takiem*.
Tak to nieraz w głupocie drzemie prawda żywa,
A w przysłowiowej prawdzie — głupota spoczywa.
Masz tobie! nadeptałem na przysłowie! za co
Bracia moi po piórze gorzko mi zapłacą,
Zwłaszcza ci, co w przysłowiach widzą mądrość ludu.
Otóż, by przyjaciołom moim ująć trudu,
Będę dalej pogrążał w grzechu moją duszę;
Zresztą czyn popełniłem i bronić go muszę.
Biorę dwa pierwsze lepsze, pobratymczej treści,
Popularne przysłowia, czy tam przypowieści.
Znają je z doświadczenia i starzy i młodzi;
Jedno: »Kto ryzykuje, ten bez butów chodzi«.
A drugie, traktujące takie samo tema:
Że: »Kto nie ryzykuje, ten nigdy nic nie ma«.
Obydwa są w praktyce niby to do rzeczy,
Wszakże jedno drugiemu najkompletniej przeczy.
A że największe prawdy, wprost przeciwne sobie,
Muszą siebie nawzajem pogrążać w żałobie,
Zatem na moją korzyść jasny wniosek tryska,
Że mądrość i głupota sąsiadują z blizka,
I że prawdy naciskać zbytnio nie należy.

http://rcin.org.pl

Takie jest moje zdanie — kto chce, niechaj wierzy,
Kto nie chce — wolna wola — niech myśli inaczej,
Ja ani się rozgniewam, ani się rozpłaczę.
Bo gdyby mi się gniewać albo płakać chciało,
W Indykowie mam przyczyn do tego niemało.

. . . . . .

A no, spróbujmy sobie. Piękny Indykowie!
Jak Pana Boga kocham, jak mi miłe zdrowie,
Nie jesteś tak rozkoszny, jak ci się wydaje;
Ja, co od lat szesnastu znam twe obyczaje,
Pytam się ciebie, duszko, jakową część ciała
Ludzkiego twa opieka kiedy otaczała?
Rozpocznijmy od dołu; to jest nasze nogi
Niech naprzód głos zabiorą: Indykowie drogi!
Miasteczko! jakie w mózgu miałeś abecadło,
Żeś na stu kilometrach kwadratowych siadło,
I zmuszasz nas w dni słotne, błotne lub gorące
Galopować milami, jak skoczne zające?
Jaki masz stąd pożytek, że w każdej ulicy
Stoi płot obok każdej prawie kamienicy,
Których budujesz setki każdziutkiego lata,
I wciąż będziesz budował do skończenia świata,
Czyniąc góry i doły, pełne lepkiej gliny,
I forsując do reszty nam dolne kończyny?
Idźmy dalej — nad nogą siedzi brzuszek luby.
Ten, to już w twoich murach wprost pędzi do zguby,
Bo, czy to *pech* masz taki, czy też co innego,

http://rcin.org.pl

Dość, że twe jadłodajnie prowadzą do tego [1]),
By, począwszy od męża stanu do dziewczątka,
Każdy mógł się poszczycić katarem żołądka.
A wiesz ty, co to znaczy mieć w brzuszynie kwasy?
A toż to po wsze miejsca, wsze ludy i czasy,
Straszliwych kataklizmów jest główną przyczyną;
Stąd walki i stronnicze zaciętości płyną,
Stąd zamieszki i wojny, co gubią narody,
Bo gdzie niema humoru — tam niema i zgody.
Stąd to i tobą nieraz żołądkowe kłótnie,
O Indykowie! rządzą mocno bałamutnie.
Nad brzuszkiem siedzą piersi — lecz w tej sprawie tyle
Pisałem o dławiącym nas kurzu i pyle,
Że ci przydługi wywód daruję tym razem,
I niezwłocznie wystąpię z plastycznym obrazem —
Miłości, z jaką zwykle otaczasz część ową
Naszej ludzkiej postaci, co zwana jest głową,
A która na wierzchołku siedząc, że tak rzekę,
Zasługuje na również wysoką opiekę.

. . . . . .

Była raz jedenasta godzina wieczorem,
O której nawet taki, co jest cnoty wzorem,
Z klubu w domowe progi wraca bez obawy,
Że mu żona monolog ofiaruje łzawy,

[1]) Od czasu, gdy to było pisane, wszystko zmieniło się do niepoznania na lepsze.

http://rcin.org.pl

Który w ssąco-tłoczącej, lukrecyowej treści,
Postawi mu przed oczy smutny los niewieści.
Owóż, jak powiedziałem, była jedenasta,
Gdy wracałem do domu. Okolica miasta,
Przez którą przechodziłem, była pierwszorzędną,
W poblizkości teatru; a choć tylko jedną
Opatrzona latarnią, byłoby pół biedy,
Gdyby ona latarnia paliła się kiedy.
Mimo, że okolicę tę znałem dokładnie,
Gdy jednak nie wiadomo co i kiedy spadnie —
Na człowieka, więc szedłem, dając duszę Bogu.
Wiedziałem doskonale, że na prawo, w rogu,
Stoi żelaznych słupków cztery — dalej, w lewo,
Jedno i drugie twarde, orzechowe drzewo,
A zaś prawie w pośrodku — pompa, obok której
Owa ciemna latarnia i dwie w bruku dziury.
Szedłem, machając laską, w kółko; jest to sposób,
Który wybawił wiele od kalectwa osób;
Minąłem zręcznie drzewa, pompę, słupki cztery,
Spokojny, że już wkraczam w bezpieczniejsze sfery,
Gdy nagle wkładam nogi w ową dziurę w bruku,
I głową o latarnię bęc! Wprawdzie bez huku
Tę woltę urządziłem, jednak dosyć mocno.
To się u nas przytrafia często porą nocną,
Gdy księżyc w końcu pełni świeci chwilę małą,
A magistrat mu każe świecić przez noc całą.
Tak, luba Rado miejska cnego Indykowa!

http://rcin.org.pl

Jesteś nieporównana! Tylko mego słowa
Bardzo do serca nie bierz. Ja wiem, że i święci
Nie mogliby od ciebie mieć zacniejszych chęci;
Lecz cóżeś temu winna, że w koronę ciała
Opatrzność ci za mało, wiesz, ten... tego... wlała.
Dlatego też, bez względu na ból i rozpacze,
Nie gniewam się na ciebie — lecz nad tobą płaczę.

. . . . . .

Inna rzecz jest pan Adolf [1]), który, gdy co powie,
Każdemu na pożytek idzie i na zdrowie.
Na tego to się gniewam. Lecz do gniewu wrócę
Później; dziś tylko powiem, że w ostatniej sztuce
Pod tytułem: »Pan Poseł«, on, co zna tajniki
Naszej melancholijno-słodkiej polityki,
Pokazał, jako u nas człek niemądry całkiem
Może zostać z łatwością posłem i marszałkiem,
Co w dalszej konsekwencyi niekorzystnie wpływa
Na krajowe i tak już mizerne aktywa.
Komedyę tę niebawem sami osądzicie,
Bo, jeśli się nie mylę, w maju mianowicie,
Czy w czerwcu przedstawioną wam będzie w War-
[szawie.
Więc świetne jej szczegóły na boku zostawię.
A tutaj, choć marszałkiem i posłem nie jestem,
Pragnę tylko wystąpić z stanowczym protestem

[1]) Adolf Abrahamowicz, komedyopisarz.

http://rcin.org.pl

I przeciwko zasadzie, choć ta jest wspaniałą,
I w imię praktyczności — której w sztuce mało.
. . . . . .
Zacny panie Adolfie! Znasz ty dodawanie?
Prawdopodobnie znasz je. Policz-że, kochanie,
Ilu też potrzebuje kraj nasz potentatów,
Marszałków i prezesów, posłów, delegatów,
Ażeby żyć wspaniale? A no, tak mniej więcej,
Bez przesady: piętnaście... dziesięć... pięć tysięcy...
I ty chcesz, żeby tylu u nas mędrców było?
Racz-że uchylić czoła przed tej liczby siłą,
I nie dziw się zbytecznie, że na dygnitarzy
Wybieramy częstokroć co i jak się zdarzy.
Obok tego, jak sądzę, znasz siłę i drugą:
Teoryę o niewinnych, gdzie Bożym jest sługą
Każdy, zarówno głupi, jako i rozumny.
Czy więc słuszna, by jednym dźwigano kolumny,
A drugich kamieniami w łeb? Mnie się wydaje.
Że owszem, czy to światli, ciemni, czy mazgaje,
Wszyscy mają tytuły do smacznego kąska.
Jest to racya tak prosta, że nawet i gąska
Parafialna wie o tem i z tego korzysta.
A teraz niech się w tobie obudzi artysta!
Niech cię chociaż na chwilę nie pęta logika,
I tylko piękno twoją istotę przenika:
Wszak znasz nasze poczciwe, nasze piękne lasy?
Czemu pełne są takiej niezrównanej krasy?

http://rcin.org.pl

Dlatego, że w nich wieczny, przedziwny ład Boży
Wszelakie twory swoje harmonijnie mnoży.
Że nikczemna osika rośnie obok dęba,
Że wspólnie ze słowikiem gwiżdże gil i zięba.
Toż naprzykład i w sejmach serce się weseli,
Gdy w nich każdy twór Boży ma przedstawicieli;
Czyli to wielkich myślą, czy ubogich duchem,
Gdy nietylko sam geniusz tłucze nas obuchem.
A co pan Adolf powie na rozliczne cnoty,
Które ekwiwalentem bywają głupoty?
Na obiadki, otwarte sąsiadom wrzeciądze,
Koligacye, stosunki, a co na pieniądze?
Na wszystko to, zwrócone mieć potrzeba oczy,
I nie brać za złe głupstwu, że się naprzód tłoczy.
Albowiem tak bywało od początku świata,
I będzie takoż bywać niezliczone lata.
A że świat na zasadzie takiej konjunktury
Dotąd się nie przewrócił nogami do góry,
Pomimo, że w nim głupstwa roi się bez liku,
Prędzej zatemby można znaleźć się w wyniku,
Że lepiej, niźli mędrce, orły i tytany,
Stawiać nam na świeczniku... osły i barany.
Tak, tak, panie Adolfie! Twoim »Panem Posłem«
Zadarłeś niepotrzebnie z wielorakim osłem,
A i ze mną, co jestem równie sprawiedliwy
Dla kozła i barana — róży i pokrzywy.
I jeśli cię z mej strony ominęły zbóje —

http://rcin.org.pl

W formie świadków, to tylko, że ciebie szanuję.
Tembardziej, że Redaktor mój zacny w Warszawie,
Którego tak miłuję jako ciebie prawie,
Bodaj czy się nie zgorszył z twojego powodu,
Albowiem nie mam zgoła żadnego dowodu,
Jak on się zapatruje na rzeczy i ludzi,
I czy głupota ludzka bawi go, czy nudzi.

. . . . . .

Kochany Redaktorze! Z tych ostatnich wierszy
Widzisz, jaki przyjaciel jestem twój najszczerszy.
Więc pozwól mi uściskać »liców twoich słońca«
I cieszyć się, że list mój dobiegł wreszcie końca.

P. S.

W ostatniej się dopiero chwili dowiedziałem,
Że »Pana posła« chwalą posłowie z zapałem.
Nie dlatego, ażeby twierdzili stanowczo,
Że w gronie swem nie mają głów z naturą owczą,
Tylko, że nikt z nich tego, co się w sztuce gada,
Nie stosuje do siebie — jeno do sąsiada.
Zatem chętnie wyznaję, jako byłem w błędzie,
I że wszystko jest dobrem i zawsze i wszędzie.

Lwów, luty 1893 r.

http://rcin.org.pl

XI.

Kochany Redaktorze! Wiosna! wiosna! wiosna!
Pełna blasku i woni, strojna i radosna,
Skrzeczą żabki, wół ryczy, klekocą bociany;
Czułe trele wydzwania słowik zakochany,
A człowiek rozmarzony idylą świetlaną,
Rznie kurczęta i dusi raki ze śmietaną.
Argument dotykalny i niczem niezbity,
Jako uprawiać piękno może tylko syty.
Bo i chęć trylowania ogarnia słowika
Dopiero gdy się sporo muszek napołyka;
A co zaś do poetów, szczególniej liryków,
Widziałem, jak zmiatali po kilka befsztyków,
Ażeby należycie dostroić swą duszę,
I łzą gorzką oblewać serdeczne katusze.
Ale wracam do wiosny; ta roku pańskiego
Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt i trzeciego,
Była, jak to się u nas mówi, przeszkodzona.
Nie wiem, jak wyglądała inna świata strona,
Ale u nas, choć maj już dobiegał do końca,
Każdy szukał daremnie odrobiny słońca,

http://rcin.org.pl

I minę czynił kwaśną, gorzką lub cmentarną.
Pola, łąki i lasy wyglądały czarno,
A zefirek, zwiedzając indykowski parów,
Czynił prezenty z kaszlów, chrypek i katarów.
Rzecz wiadoma powszechnie, żem nie jest ciekawy,
Zwłaszcza, jeśli w grę wchodzą płci nadobnej sprawy;
Dałbym jednak guldena, by mi powiedziano
Co się robiło dotąd z wiosenką kochaną.
Być może, że zanadto tańcząc w karnawale,
Wysypiać się musiała; tylko że jej wcale
Nikt u nas nie oglądał przez zimę całutką;
A może, szałem serca dotknięta, cichutko,
Pofrunęła z kochankiem w ustronie Riviery,
Albo i dalej jeszcze, w nadziemskie etery...
Albo i to najprędzej, że tiule i gazy,
Bez których zejść nie mogła, bez boskiej obrazy,
Mocno na jej spóźnienia zaważyły szali;
Bo kupcy, co gałganki na kredyt jej dali,
Obojętni, jak kupcy, na młodość i wdzięki,
Mogli zażądać od niej poważnej poręki,
Zatrzymując, aż da im jaki grosz gotowy,
O czem u młodej wiosny nie mogło być mowy.
Że jest prawdopodobną ta historya cała,
Dowód w tem, że gdy wreszcie do nas zawitała
Ona wiosna, czekana przez nas z utęsknieniem,
Takiem buchnęła na nas żarem i płomieniem,
Jak gdyby wpadła z kontrą na dziesięć bez atu,

http://rcin.org.pl

I zaraz rządy swoje przekazała latu;
A sama w złym humorze wróciła do chatki,
Płacić kupcom za wzięte na urodę szmatki.
Tak tedy miłej wiosny, jak gdyby nie było.
Owóż, chcąc się nacieszyć oną panną miłą,
Muszę z nią pogawędzić chyba na papierze.
Cóż, kiedy na wspomnienie o niej chęć mię bierze
Kłócić się z kolegami, co są tego zdania,
Że wiosna tylko na wsi swe wdzięki odsłania.
Wiosna na wsi! Bodajże ich z podobną gadką!
Widziałże kto kobietkę, jako tako gładką,
By po lasach włóczyła uroki niewieście,
Mogąc je produkować z powodzeniem w mieście,
Gdzie znawców jest bez liku, gdzie na zawołanie
Pudru i gliceryny przeróżnej dostanie;
Gdzie elektryczność biała lepiej od księżyca
Poetycznie przywiędłe nawet krasi lica,
Gdzie tak łatwo, przez flirtu misterne orkany,
O kochanka i męża wszelakiej odmiany...
Et, co tu wiele gadać; mam racyę i basta.
Używać wiosny można tylko w murach miasta.
Tak, tak, mój Redaktorze. Wstajesz, dajmy na to,
O ósmej, wita ciebie samowar z herbatą,
Którą pijesz, dodawszy wina lub cytryny,
Innej u nas nie połkniesz ani odrobiny...
Ale mniejsza tam o to — bierzesz okulary,
Albo cwikier, cylinder, parasolik szary,

http://rcin.org.pl

I wyruszasz na miasto — prościutko na rynek,
Gdzie gromadki brunetek, szatynek, blondynek,
Czyli innemi słowy, fertyczne przekupki
Siedzą, mając przed sobą ułożone w kupki
Karafiory, buraczki, groszek, kartofelki,
Umyte, wyczesane, bez błota kropelki.
Gdy na wsi, jeśli pragniesz ucieszyć się niemi,
Musisz je ciągnąć gwałtem z czarnej jak noc ziemi.
A kwiaty? Fiołki, bratki, tulipany, róże...
Powiązane w bukiety i małe i duże!
Tylko wyjmij monetę, a masz ich dostatek!
Nie tak, jak tam gdzieś na wsi, gdzie ci byle kwiatek
Stoi sobie osobno, jakby obrażony,
Sam nie wiesz, z jakiej masz się doń przybliżyć [strony;
A jeśli chcesz go zerwać, to jak jakie prosię
Musisz sobie lakierki zawalać na rosie.
Kupujesz różę, wtykasz w dziurkę od żakieta,
Albo bierzesz ją w zęby, jak chce etykieta,
I pędzisz do ogrodu, gdzie ku twej zabawie
Wróbelki różne figle czynią ci na trawie...
A na wsi co? Waryaty!... Każdy precz ucieka,
Jak gdyby lekceważył zacnego człowieka.
Chcesz śpiewu, co ci chwile rozkosznie umila,
Bardzo łatwo; kupujesz kosa albo gila,
Kładziesz w klatkę i słuchasz; a takim dyszkantem
Popisze się przed tobą i takim kurantem,

http://rcin.org.pl

Że leśnym ptakom równy nie przyjdzie do głowy.
Bajki lokomotywa lub kocioł parowy!
Czekaj, gdzieśmy to byli?... w ogrodzie z wróblami;
Wychodzisz, idziesz sobie pięknie ulicami,
A tu nos twój z suteren, sklepów, albo sieni
Atakuje woń dymu, karbolu, pieczeni...
Ale to nic, bo za to, gdy co pięćset kroków
Kłąb ozonu wypadnie ci raptem z obłoków,
I nagle w twoim nosie i ustach utonie,
I wypędzi mniej miłe i rozkoszne wonie,
Wtedy dopiero możesz, podane na raty,
Przez porównanie odczuć wiosny aromaty...
W mieście, ale nie na wsi, gdzie ci w twoje płuca
Powietrze ten swój ozon dniem i nocą rzuca.
Cóż dopiero wieczorem! gdy w miejskim ogródku
Oglądasz, siedząc albo chodząc po malutku,
Słodkie panny i słodsze od panien mężatki,
Bladą młodzież, jak wąsik swój pokręca rzadki;
Na drzewach kolorowe migają lampiony:
Tu i ówdzie nad kuflem duma nos czerwony,
Albo łysina zmiata kurczęta i raki...
Niechże mi kto pokaże na wsi widok taki,
A dam mu konia z rzędem... Po dniu noc nastaje;
Owo wiosenne — wiejskie, nocne obyczaje:
Kury, kaczki, indyki, pantarki, koguty,
Tak ci słońce witają, że potem jak struty
Włóczysz się, poziewając przez cały dzień Boży.

http://rcin.org.pl

Co prawda, to i w mieście, gdy się człek położy,
Pukanie i trzaskanie, fortepiany, koty,
Wydrą mu sen kamienny nawet, albo złoty,
Lecz przynajmniej zły, możesz wyskoczywszy z domu,
Choćby dla satysfakcyi nawymyślać komu,
Gdy tymczasem pantarki, koguty i kury
W żywe oczy drwią z ludzkiej złości i brawury.
Tak tedy, jak dla kogo, słodko czy żałośnie,
Skończyłem wreszcie traktat o rozkosznej wiosnie.
W dalszej zaś konsekwencyi klnę się na mą duszę,
Że w onej porze z miasta krokiem się nie ruszę.
Sądzę, że i ty jesteś podobnego zdania,
Kochany Redaktorze! toż, gdy się wyłania
Taka dusz naszych wspólność, serdecznie cię proszę
O radę w pewnej kwestyi, która mnie potrosze
Obchodzi. Rzecz jest taka: List ten przeczytałem
Osobie, jak to mówią, i duszą i ciałem
Życzliwie mi oddanej; owóż ta osoba
Powiedziała, że list mój jej się nie podoba
Dlatego, że w nim kreślę żywot pospolity,
A ludzkich żądz i pragnień głębiny i szczyty,
Są dla mnie obojętne, a nawet tajniki
Wszechwładnej dziś bogini — pani polityki.
Na to mógłbym powiedzieć, że każdy z nas orze
(Ubliżać tu nikomu nie chcę) jako może;
Co zaś specyalnie do mnie, to więcej mnie uczy
Przestroga szalejącej nad mą głową tuczy,

http://rcin.org.pl

Śpiew słowika i praca mrówki albo pszczoły
Niźli filozoficzno-prawne epistoły,
Które tak wyświecają istotę wszechrzeczy,
Że gdy jedna co twierdzi, to druga jej przeczy;
A im tezy swej bronią piękniej i goręcej,
Tem nieszczęśliwych czynią malkontentów więcej.
Zaś co do polityki, którą ludzkość łata
Swe sobkowskie instynkty od początku świata,
A przy której dziś wszelkie inne sprawy gasną,
To niech ją najjaśniejsze pioruny zatrzasną!
To co w niej prawdziwem dziś — to jutro kłamanem,
To co dzisiaj sztandarem — to jutro łachmanem;
Więc wolę od jejmości tej chodzić z daleka,
A patrzeć na obyczaj zwykłego człowieka,
I cieszyć się z nim razem w jego szczęsnej doli,
Albo z nim razem płakać, jeśli go co boli.
Ciekawy jestem bardzo, czy moja zasada
I tobie, Redaktorze, do gustu przypada?
Pomyśl i odpowiedzieć mi zechciej łaskawie.
Pokłon tobie i zacnej, kochanej Warszawie.

Lwów, maj 1893 r.

http://rcin.org.pl

XII.

Kochany Redaktorze! Wszak zgadzasz się na to,
Że gdy przeminie wiosna, następuje lato?...
Dziękuję ci. To samo stało się w tym roku.
Wiosna frunęła od nas na srebrnym obłoku,
A miłościwe lato, na złotym rydwanie
Wyjechało i nad ziemią wzięło panowanie.
Jaśnie wielmożne słońce promienistem okiem
Spojrzało na ród ludzki i takim potokiem
Oblało nas w swej łasce światła i płomieni,
Że każdy, kto miał tylko monetę w kieszeni,
Czyli to mąż hartowny, czyli mdła niewiasta,
Na wszystkie cztery nogi — precz umykał z miasta.
Jeden w lasy i góry odpoczywać w chłodzie,
Drugi ciało swe grzeszne moczyć w zimnej wodzie,
Inny zadawać szyku w zagraniczne kraje,
Wychodząc z tej zasady, że gdy człek wydaje
Spory grosz, niech mu za to satysfakcya płynie,
Niech Niemiec się dziwuje twojej gęstej minie,
Niech ucieszne koziołki przed tobą wyrabia,
Zgięty w kabłąk, niech mówi: »Jaśnie panie hrabia...«

http://rcin.org.pl

Co prawda, to i w domu łatwo za guldena
Zostać hrabią od stróża, fiakra czy gamena.
Lecz inna rzecz jest nędzny fagas w swojskiej chacie,
Inna Niemiec we fraku i białym krawacie.
Bo gdy ten, bywa — twoją jasność seryo bierze,
W domu każdy wie dobrze, coś ty jest za zwierzę.
Z tem wszystkiem, w onym naszym zagranicznym
[pędzie,
Kto wie czy odrobinę słuszności nie będzie.
Bo co pragnący zdrowia lub willegiatury
Znajdzie u siebie w domu? Albo liche dziury,
W których elementarne i społeczne klęski
Z nieszczęśliwym człowiekiem toczą bój zwycięski,
Albo jeśli zdobędzie gdzie jaką wygodę,
To tyle płacić musi za chleb i za wodę,
Za powietrze, za słońce, za pełnię księżyca,
Że bajki w porównaniu wszelka zagranica.
Stawiam tu, jako przykład, wszystkim dobrze znane
Nasze piękne, urocze, miłe Zakopane.
Pomijając lekarskie dwa czy trzy zakłady,
Gdzie również mniej wygody niżeli parady?
Co tam znajdzie? Czy jedno z komfortem mieszkanie?
Czy gdziekolwiek posiłku smacznego dostanie?
Czy w czas deszczu unikniesz tam grzęzkiego błota?
Czy schwytasz kapkę chłodu, gdy dusi spiekota?
Boć i w lasach poblizkich, wśród pni i kępiny,
Niema tam przyzwoitej jakkolwiek drożyny.

http://rcin.org.pl

Czy masz się czem przejechać, prócz trzęsącej budy?
Z góralem ustrojonem w zathuszczone brudy?
Powiedzą mi: wycieczki! Ależ wielkie bogi!
Nie każdy ma miech w płucach i stalowe nogi,
By przez głazy, korzenie, wyrwy i wąwozy
Skakać na łeb na szyję, nakształt dzikiej kozy!
Tak to jest w klimatycznym tym naszym klejnocie,
Cóż dopiero gdzieindziej, gdzie człek w czoła pocie
Musi zdobywać masła grudkę na śniadanie,
A na mleko formalne czynić polowanie!
Gdzie w nocy wszelki owad krew z ciebie wysysa,
A w dzień co krok spotykasz krowę lub kundysa;
Gdzie z okien się nasycasz widokiem prosięcia,
I gdzie ludność miejscowa tyle ma pojęcia
O obejściu złączonem z pewną uprzejmością,
Że ci każda przyjemność stanie w gardle kością.
Że to, co powiedziałem tu, jest prawda czysta,
Z pewnością mi potwierdzi każdy nasz turysta,
Jeżeli w sercu swojem sprawiedliwość chowa.
Dlatego też z mej skargi nie cofam i słowa,
I w sumieniu mi żaden wyrzut się nie budzi,
Bo przecież się odzywam do rozumnych ludzi,
Którzy mnie nie posądzą o niechęć dla kraju,
Albo że się w niemieckim kocham obyczaju.
Bowiem można mieć serce, dobrej woli pełne,
A przeto nie obwijać własnych wad w bawełnę,
Zresztą każda uczciwa i słuszna krytyka,

http://rcin.org.pl

Nie tylko do poprawy pola nie zamyka,
Lecz owszem, do energii i czynu pobudza.
Dlatego niech tam sobie politura cudza
Będzie jak tam chce piękna, to my w dziury [nasze
Jeździć będziemy chętnie; z kwaśnem mlekiem [kaszę
Przedkładając nad wszelkie niemieckie frykasy;
A swoją drogą czynić będziemy hałasy,
Ażeby choć powoli, za dobre pieniądze,
Przystojniej zaspokajać nasze letnie żądze.
. . . . . .
Po tej wycieczce na wieś, wracam ożywiony,
Do tej na kuli ziemskiej miast wszystkich korony,
Miłego Indykowa; w którym tego roku
Z różnych smętnych powodów i z pracy natłoku
Lato przepędzić muszę; a do tego jeszcze
Losy, nie wiem tam jakie, dosyć że złowieszcze,
Takim mnie oplątały fatalnym arkanem,
Że zostanę, o Boże — *wdowięciem* słomianem!
Powiedziałem *wdowięciem*, nie wdowcem, z powodu,
Że chcę tu stwierdzić, wobec całego narodu,
Jako słomiany wdowiec jest na całym świecie
Istotą najnędzniejszą; niby małe dziecię,
Bez opieki i steru; — bo wdowiec prawdziwy,
Będąc wolnym — ma prawo wszelakie porywy
Swego temperamentu zaspokajać snadnie,

http://rcin.org.pl

Gdy słomiany sam nie wie, co na niego spadnie:
Pogoda czyli słota, za powrotem żony,
Dlatego to przez miłość i zacność strzeżony,
Jest jak małe pacholę, czyli biedne *wdowię*.
Oto jak się ten wyraz urodził w mej głowie.
Na stwierdzenie poglądów moich, dam tu krótko
Ilustracyę wdowieństwa onego milutką:
Historya się zaczyna z wielką chwilą oną,
Gdy po walnej naradzie zgodnie ułożono,
Że małżonka wyjeżdża do kąpiel po zdrowie,
A małżonek zostaje z mopsem w Indykowie,
Uprzedzam, że nie będę tu mówił o sobie,
Tylko o przyjacielu; tem słuszniej to robię,
Że o nim właśnie krążą ciekawe pogłoski,
Jako wdowieństwo spędza w sposób iście boski.
. . . . . .
Lat upłynął dziesiątek, jak jest on po ślubie;
Ranki przepędza w biurze, a wieczory w klubie,
Co wskazuje, że nie jest żadnym safandułą,
Że jednak duszę prawą ma i mocno czułą,
Więc przed odjazdem żony, dwa czy trzy wie-
[czory
W klubie się nie pokazał. Myśląc, że jest chory,
Poszedłem go odwiedzić i tak się trafiło,
Że tylko co wyprawił magnifikę miłą.
Siedział we dwójkę z mopsem, markotny troszeczkę;
W szlafroku, w okularach, w dłoni miał karteczkę,

http://rcin.org.pl

Którą podał mi zaraz z miną osowiałą.
Wziąłem i przeczytałem. Na karteczce stało:
»Dla pamięci mężowi, po odjeździe żony:
»Pamiętaj, by mój *Bižu* był dobrze karmiony,
»I nie pił wody innej, jak przegotowaną.
»Pamiętaj, żeby codzień kwiaty podlewano,
»I to zawsze wieczorem; pamiętaj kochanku,
»By kto czego nie ukradł z mej szafki na ganku,
»Jak to się raz zdarzyło; pamiętaj, kochany,
»Co sobota przetrzepać meble i dywany,
»Moleby je ściąć mogły i byłaby szkoda;
»Pamiętaj mi otwierać okna, gdy pogoda,
»A kiedy deszcz — zamykać, pamiętaj, kochanie,
»Od dziś za trzy tygodnie kazać zrobić pranie,
»Ażebyś miał w czem chodzić, pamiętaj, mój drogi,
»Kazać pomyć, a potem zaprawić podłogi,
»Pamiętaj o kanarku; pamiętaj, mój miły,
»Późno w noc nie powracać, bo to niszczy siły;
»Pamiętaj — pisz o wszystkiem do mnie szcze-
[gółowo,
»Pamiętaj«... nie skończyłem; tylko kartkę ową
Przed przyjacielem cicho złożyłem na stole,
A teraz proszę wszystkich, kto ma dobrą wolę,
Niech się tylko spokojnie nad tem zastanowi,
Ile fantazyi może zostać człowiekowi,
Noszącemu w swej duszy, zlecenia żonine?
Od rana do wieczora trze tylko czuprynę,

http://rcin.org.pl

By podołać wszystkiemu; boć i kocha żonę,
I czuje, że jej rady są uzasadnione.
Wziąwszy więc na uwagę: owo zamiatanie,
Trzepanie, otwieranie, pranie, podlewanie...
Słomiany wdowiec tyle z swobody korzysta,
Że w klubie kilka robrów więcej zagra wista,
I parę godzin później powróci do domu,
Spokojny, że tam gderać nie będzie nań komu.
Co prawda, między nami są i Donżuani...
Ale tacy potrafią i przy własnej pani
Płatać małe figielki, gdy okazya nada;
Lecz takich — jeden na sto! zaś reszta gromada
Donżuanizm uprawia, ot sobie, dla szyku,
Nie tak w eksperymencie mocna — jak w języku.

. . . . . .

Działo się w Indykowie, przed nie wielu laty.
Raz dwóch słomianych wdowców, łysy i pękaty,
Postanowiło sobie dać folgę swobodzie;
Więc poszli lornetować piękności w ogrodzie,
A stamtąd do ustronia pod »Wroną«, czy »Sroką«;
Zasiedli przy stoliku, wygodnie, szeroko,
I winko pociągając, rozkosznie patrzyli,
Jak miss Fanny, miss Lola, miss Katy, miss Lili,
Podkasaną spodniczką i figlarną nogą
Wabiły czułe serca. I było im błogo,
Tak błogo, że uznali za konieczną racyę
Miss Fanny i miss Lolę prosić na kolacyę.

http://rcin.org.pl

Stało się, jako chcieli, po niewielkiej chwili
Garsony kolacyjkę sutą zastawili,
A dwóch słomianych wdowców i dwie gołębice,
Świetnie zmiatali raki, pasztet, polędwicę,
Podlewając koniakiem, węgrem i szampanem,
I czas leciał jak strzała; wszelako nad ranem
W mózgach przyjaciół naszych, mimo animuszu
Zaczęła sobie siadać myśl o — Morfeuszu,
A gdy przytem wesołe i praktyczne panny,
Z jednej strony miss Lola, a z drugiej miss Fanny,
Uczyniły giest jeden i drugi zbyt śmiały,
I do słomianych wdowców zbyt się przysiadały,
Idylla niespodzianie dziwny obrót bierze:
Bowiem ni stąd ni zowąd, dwaj nasi rycerze
Zaczynają coś stękać i wzdychać głęboko.
Jednego ząb rozbolał, a drugiego oko!
Więc zdekoncertowane przepraszają diwy,
Wstają, płacą rachunek i dosyć szczęśliwy
Kontra-marsz urządzają w stylu Ksenofonta.
Na ratuszu godzina wybijała piąta,
Gdy poczciwe słoneczko, różowo wschodzące,
Ujrzało ich postacie, wstydliwie sunące
Ku domowym ogniskom, gdzie jakby po wojnie
Znużeni — legli; spali wszakże niespokojnie;
Śnili, że umykają w pantoflach przez pola,
A za nimi miss Fanny pędzi i miss Lola.
Taki był koniec rzeczy. Że zaś ich widziano

http://rcin.org.pl

Przy owych gołębicach, więc nazajutrz rano
W biurze, a potem w klubie ten i ów znajomy,
Prześladował ich, zowiąc mężami Sodomy.
Bronili się szlachetnie; wszelako ich mowa
O Sodomie nie była bardzo szczegółowa.
. . . . . .
Po tym pięknym obrazie, nic mi nie zostaje,
Jak zakończyć uwagą: jako obyczaje
Naszych słomianych wdowców są jako należy,
A gdyby który z zacnych, słomianych rycerzy
Uczuł się pokrzywdzonym tutaj na honorze,
To mu na to odpowiem: Broń mnie Panie Boże,
Bym miał kogo obrazić. Nie jestem uparty;
Niech będzie, że to wszystko, com napisał, żarty,
Jakkolwiek utrzymują, że to prawda szczera,
Tak, powtarzam, nie tęga to wcale afera
Zostać słomianym wdowcem. Bowiem mąż bez
[żony,
Jest jako liść jesienny, wichrami niesiony;
Chwilę małą koziołki w powietrzu wywraca,
Ale wnet na bruk spada, gdzie go czeka praca
Codziennego żywota, i troski i znoje...
Które samemu dźwigać ciężko — lżej we dwoje.
. . . . . .
Żegnam cię, a i proszę, wybacz Redaktorze
Za ten list dość dziwaczny. Jestem w złym hu-
[morze

http://rcin.org.pl

Z powodu... ach! powodów mam dość oczywiście
Może powiem ci który, lecz w następnym liście.
. . . . . .
A jeśliby dzisiejszy list mój był ostatni,
Westchnij: — Ciężko mi bracie w tej społecznej [matni.

Lwów, lipiec 1893.

http://rcin.org.pl

XIII.

Kochany Redaktorze! Bardzo mi jest miło,
Że ci się tego lata dobrze powodziło.
Tak przynajmniej przypuszczam; a jeśli się mylę,
Jeżeli miałeś jakie rozpaczliwe chwile,
To pociesz się tą myślą, że wszystkie przygody,
Jakie cię spotkać mogły, najczarniejszej wody,
Są niczem w porównaniu, są szczęściem bez mała,
Z piekielną katastrofą, jaka mnie spotkała,
A spotkała mnie w sierpniu, drugiego miesiąca,
O dziewiątej minucie po zachodzie słońca,
W chwili, gdy wszelka dusza, ponura czy tkliwa,
Rozkosznego pokoju i szczęścia zażywa.

. . . . . .

Siedziałem sobie w klubie, literackim klubie,
Przy wincie z gwoździem, w czwórkę, co ja bardzo
[lubię,
W czwórkę, ale nie w piątkę, bo w tej kombinacyi,
Ciągle wychodzić muszę; — pytam z jakiej racyi?
Z jakiej racyi się pytam? — Toż przecie nie chodzę
Do klubu, żeby dziury wyżłabiać w podłodze!

http://rcin.org.pl

Chodzę, żeby pracować...
Miałem za partnera,
Gracza siły nie lada; cóż, gdy los, przechera,
Taki tego wieczora był chmurno-ponury,
Że przeciwnikom naszym wciąż dawał figury,
A nam dwójki i trójki. Ja byłem *na ręku*,
Zatem, dla niepoznaki, lekko, pełen wdzięku,
Powiadam *pas* maleńki; gracz z mej lewej strony
Bez atu, a mój partner, zły, czy zamyślony,
Nie odzywa się wcale; — gracz na prawo — czeka,
Lecz nie może wytrzymać; i z miną człowieka,
Który ma wściekłą kartę, powiada *dwa kiery;*
Ja *pas;* i tak powtarza się to razy cztery.
Oni wciąż licytują, aż nam idzie w pięty,
A mój kochany partner milczy jak zaklęty,
Aż dopiero, gdy tamci rzekli: *cztery piki*,
Przychodzi mu do głowy koncept głupio-dziki:
»Za pozwoleniem, mówi, ja mam głos, panowie«.
Tamci mówią: i owszem; — po mnie przeszło mrowie,
Daremnie robię minę rozpaczliwie szarą.
Wszystko na nic! Mój partner woła: *cztery karo!*
Niech go pioruny! Sądził, że tamtych przestraszy.
Zasadzka! *Spasowali!*... i narobił kaszy!
Graliśmy *cztery karo!* On i wziątki nie ma!
Graliśmy *cztery karo!*... i wzięliśmy *szlema!*
Awantura! zgiełk, hałas, zamieszanie, drwiny,
Kibiców nazbiegało się ze dwa tuziny,

http://rcin.org.pl

Co? jak? kiedy? którędy?... wrzawa niesłychana,
Mój partner się uśmiecha, lecz wzrok ma barana,
Stara się wytłumaczyć, że to były żarty...
Niedołęga! ja skaczę, ciskam o stół karty.
I przysięgam, że nigdy nie siądę do winta.
Czy wiesz, co kosztowała mnie ta jego finta?
Dziesięć guldenów blizko! Ale mniejsza o to,
Choć i dziesięć papierków nie chodzi piechotą.
Ale mniejsza, powiadam, bowiem na przegranę
Prawe serce wincisty jest przygotowane...
Tu o rzecz głębszą chodzi, miły Redaktorze!
O targających serce — uczuć całe morze:
Bo pomyśl tylko: Wojna, pożoga, cholera,
Jakkolwiek w dokuczliwych środkach nie przebiera,
I miewa dla człowieka nieprzystojne strony,
W każdej z nich chociaż honor bywa ocalony.
Ale spotkać się z taką przeraźliwą marą!
Dostać *szlema* na własne swoje *cztery karo!*
O nędzo losów ludzkich! Dwa miesiące blizko,
Jak winciści wciąż mają ze mnie pośmiewisko,
Nazywają *fuszerem* i patrzą z ukosa!
Mój partner tydzień w klubie nie pokazał nosa;
Bo w wincie rozum ludzki dyabelnie się gmatwa,
Zyskać sławę rzecz trudna — ale stracić łatwą.
Taka to mnie spotkała, bracie, katastrofa,
A że porządny człowiek słów swoich nie cofa,
Więc choć nieraz tęsknota ogarnia mnie dzika,

http://rcin.org.pl

Nie gram winta! — Przystałem sobie do bezika,
Która to gra jest piękną i pouczającą,
Zwłaszcza grana z zapałem, odważnie, gorąco,
No i z *infusoriami*, wynalazkiem, który
Racyonalnie przewrócił nogami do góry
Wszelkie dawne zasady tej gry iście boskiej.
Kombinacyę tę w chwilach swobodnych od troski
Wymyślił mój przyjaciel, rozgłośny literat,
I genialny polityk, imieniem Liberat [1]).
O tem wszystkiem napiszę ci obszerniej kiedy.
. . . . . .
A dzisiaj, dla odmiany, przeskoczę do biedy,
Jaka tu nas trapiła długo i szeroko.
Doprawdy, miałem chyba że prorocze oko,
Gdy w noworocznym liście przewidziałem z góry,
Że rok — z trójką, mieć będzie mało politury.
W styczniu gniotły nas mrozy, w lutym prały deszcze,
W marcu prały podobnież, tylko lepiej jeszcze,
W kwietniu się poprawiły, prały nas bez końca,
W maju lały od wschodu do zachodu słońca,
W czerwcu tak nas moczyły, że aż trzęsła febra,
W lipcu lały jak z konwi, a w sierpniu jak z cebra.
Możesz sobie wystawić, jak pięknie i miło
Takie półroczne pranie nas tu urządziło.
Kto tego nie oglądał, nigdy nie opowie,

[1]) Liberat Zajączkowski.

http://rcin.org.pl

Potracili biedacy, stracili panowie,
Chłopi, kupcy, szlachcice, słowem wszystkie stany,
Mnie samemu deszcz zniszczył kapelusz słomiany,
Com go nosił rok ledwie; innym jeszcze więcej.
Bogatemu pół biedy, straci coś z tysięcy,
Zalegnie mu gdzie w banku jedna, druga, rata,
No, to podpisze weksel i dziury załata,
Ale chłopu tak łatwo nie płyną guldeny!
. . . . . .
Widziałem wstrząsające straszną grozą sceny!
. . . . . .
Powódź zalała łąki i nadbrzeżne role,
Z hukiem, szumem i jękiem sunęła przez pole,
Zmiatając w dzikim szale, co miała przed sobą.
Biedny wieśniak z zalanej chałupy z chudobą
Uciekał, by zobaczyć, jak złowroga fala
Cały trud jego życia niszczy i obala...
A gdy mu zabierała ostatni półkopek
Objął go ramionami nieszczęśliwy chłopek,
I wołał »nie dam! nie dam! to moja krwawica!
»Nie dam! nie dam! to moje!« Wtem jak błyskawica,
Nowy spiętrzony bałwan przemknął mu nad głową,
I druzgocze i zmiata swą piersią stalową.
Przez chwilę było widać załamane dłonie,
Jeszcze jeden krzyk: »nie dam«... poczem wszystko tonie,

http://rcin.org.pl

Praca, nędza, zawody, rozpacze i żale...
I tylko suną brudne i spienione fale...
. . . . . .
Takich scen mógłbym podać nie setki, lecz krocie,
W których wszystko, co biedak zdobył w czoła pocie,
Poszło z wodą, zostały mu sakwy żebracze...
Lecz, że mu nie pomogą wszelkie moje płacze
I obrazki, chociażby najczulej kreślone,
Że zresztą każdy medal ma odwrotną stronę,
Więc spojrzę na odwrotną tę stronę medalu,
I rzuciwszy ton smutku, niedoli i żalu,
Rozglądnę się cokolwiek weselej po świecie.
. . . . . .
Widziałem w głupiej zresztą bardzo operecie,
»Miss Helyett«, zdaje mi się, jak pewnego rana,
Panienka bogobojnie i skromnie chowana,
Gdzieś tam w górach szwajcarskich, z ostrożności
{braku,
Lecąc w przepaść, szczęśliwie zawisła na krzaku.
Jaką pozę przybrała wówczas miss Helyetta,
Jak się ugrupowała na niej toaleta,
O tem i mówić nie chcę; dość, że los łaskawy,
Który zwykle w opiekę bierze takie sprawy,
Zesłał młodziana, który z fatalnej wyżyny
Zniósł pannę na swem ręku w bezpieczne równiny.
Panna go nie widziała, bo grozą przejęta
W kulminacyjnej chwili przymknęła oczęta;

http://rcin.org.pl

Młodzian również, albowiem baczny bezustannie,
Na co innego patrzał, niźli w oczy pannie!
Stąd mnóstwo komplikacyi, i jak to się zdarza,
Szczęśliwe rozwiązanie u stopni ołtarza.
Coś takiego w tym roku i nam dały bogi;
Tylko znacznie łaskawiej, bowiem w liczbie mnogiej.
W uroczem zdrojowisku nad wartkim potokiem,
Gdy goście spoczywali w uśpieniu głębokiem,
Rozległ się okrzyk: »Powódź!« — Wszyscy w jednej
[chwili,
W głębokiem przerażeniu, z łóżek wyskoczyli,
I biegli, i skakali przez płoty i rowy,
Lamentując na sposób hiobowo-grobowy.
Co się tam wtedy działo w parku i w ogrodzie,
Niewiadomo — noc była; tuż przy słońca wschodzie
Oczy ludzkie ujrzały pejzaż przewspaniały!
Na nizinach bałwany wzburzone szalały,
A na wzgórkach, wśród krzewów wolnych od topieli,
Gromadki pań i panien w uroczystej bieli,
Stały blade i drżące... a w srogim kłopocie,
Lica parasolkami kryły — gwoli cnocie.
Albowiem w zamieszaniu, czy też z przezorności,
Tę część stroju zabrały, nie mogąc całości.
Jakie się rysowały tam wdzięczne winiety,
Jakie pozy anielskie, w guście miss Helyetty,
Opisać niepodobna. Kto widział — szczęśliwy.
Najlepiej ja wyszedłem, bom się skrył w pokrzywy,

http://rcin.org.pl

I gdybym był malarzem i mógł kreślić szkice,
Boski »Taniec wśród mieczów« — zeszedłby na nice.
Ostatecznie przygoda pięknie się skończyła!
Płci słabej nadciągnęła w pomoc mocna siła,
Było wrzasku i pisku sporo i uciechy,
Może nawet i były jakie małe grzechy,
Lecz wobec wyjątkowej takiej konjunktury,
Możemy je rozgrzeszyć wszystkie śmiało, z góry.
Zresztą, jak powiadają, »koniec dzieło chwali«,
Więc najlepiej zrobimy, gdy będziem czekali.
Po co psuć sobie język, nic pilnego niema,
Zobaczymy, co później przyniesie nam zima,
Bowiem zima dopiero, na tym Bożym świecie,
Klaruje to, co było rozpoczęte w lecie.
Bądź co bądź, tej idylli wodnej — światło-cienie
Wywołują dziś jeszcze niejedno wspomnienie.
Tak to los, poczciwina, nawet wśród powodzi,
Widok piekła — widokiem aniołów łagodzi
. . . . . .
Kochany Redaktorze! Zmęczyłem się nieco,
I trudno mi wystąpić jeszcze z jaką hecą,
Więc pozwól, że na dzisiaj odłożę już pióro,
I dymu z cygaretki otoczony chmurą,
Puszczę wodze marzeniom — choć to dyabła warto...
A więc nie, pójdę lepiej już drogą utartą,
Powlokę się do klubu na swego bezika.
Tak, to będzie najlepiej — a z tego wynika,

http://rcin.org.pl

Że list naprawdę kończę, bo mi już czas w drogę;
Spóźniwszy się o kwadrans — partyę stracić mogę,
A tegobyś sam nie chciał. Żegnajże mi, bracie,
Bądź dobrej myśli... Pokój — tobie i twej chacie.

Lwów, wrzesień 1893.

http://rcin.org.pl

XIV.

Kochany Redaktorze! Człowiek nie wie, kiedy,
Jak i za co, dlaczego? napyta się biedy.
W ostatnim moim liście pisząc o powodzi,
Powiedziałem, że ona niezbyt wiele szkodzi
Bogatemu, a ciężko dotyka biedaka.
Owóż, uwaga moja, delikatna taka,
Ściągnęła na mą głowę, jeżeli nie burzę,
To przynajmniej wymówki i przytyki duże,
A jeden nawet szlachcic rzekł mi w irytacyi,
Że rozum mój wymaga pewnej reparacyi.
Może być, nie zaprzeczam, chociaż swoją drogą
Znalazłbym jeszcze ludzi, którzy stwierdzić mogą,
Że dawniej, kiedy miałem wsie i kapitały,
Rozum mój uważano za wcale wspaniały.
Dopiero, gdy fortuna, miła grymaśnica...
Ale to inna kwestya — wracam do szlachcica.
Ten człowiek poważany i grubo bogaty,
Niewydający nawet połowy intraty,

http://rcin.org.pl

Tak wykładał teoryę nieszczęść i boleści: [1])
»Że jednego los gnębi, a drugiego pieści,
»Rzecz całkiem naturalna; stąd idzie, że strata
»Nie bardzo ubogiego człowieka przygniata.
»Bo biedak całe życie swoje biorąc cięgi,
»Bywa, prawem odporu, na cierpienia tęgi;
»Gdy bogaty do nieszczęść nieprzyzwyczajony,
»Ma na ból i na klęski bardzo czułe strony.
»Daję za przykład siebie; ja, panie kochanku,
»Co rok parę tysiączków składam sobie w banku
»Przez całe lat dwadzieścia, aż ten rok dopiero
»Dał mi dochodu, panie, wiesz pan ile? — zero.
»Ja panie list zastawny, dziś niosę do zmiany,
»Takie to na kapitał los miewa tarany.
»Ja, panie, nie śpię, nie jem, ja ci więcej powiem:
»Ja... ja się irytuję! przepłacę to zdrowiem!
»Więc przyznaj, żeś napisał herezyę i basta.
»Tak bywa, gdy kto piórem nieoględnie szasta«.
Pożegnał mnie i poszedł; a że jego głowa
Uchodzi za genialną, więc i jego słowa
Musiały być genialne.
Rozmyślałem długo,
O ile serce ludzkie jest pieniędzy sługą,
I tym podobnych sprawach. I jak to się dzieje,
Przechodząc myśli ludzkiej przeróżne koleje,

[1]) Autentyczne.

http://rcin.org.pl

Wpadłem na zapytanie, zdaje mi się, przednie:
Dlaczego większe moje, niż w tym liście brednie,
Nie tylko nie spotkały się z równą naganą,
Lecz jeszcze je chwalono i oklaskiwano?
Dlaczego? — brałem na myśl niejedne przyczyny,
Wszystkie słabe, dumałem przeszło pół godziny,
Aż mnie z tego kłopotu wyrwała kuzynka,
Osoba wykształcona, do tego blondynka,
I rozsądna, co chodzi niekoniecznie w parze,
I co tylko wybranym los przynosi w darze.
Ta, z pewnością wierzącej w swój rozum niewiasty,
»Który to list był? — pyta. — Powiadam: trzynasty.—
»Aha, trzynasty, mówi, a może do tego
»Pisałeś go drugiego, skończyłeś szóstego,
»Posłałeś w poniedziałek, albo może w piątek...
»Nie dziw-że się kuzynie, że taki początek«...
Ech, powiadam, nie wierzę w żadne zabobony.
»No, to powiada, jesteś tak ograniczony,
»Że aż mi wstyd za ciebie; a toż małe dziecko
»Wie o tem, że jest wiele dni z marką zdradziecką,
»W których co rusz, to robisz głupstwo kapitalne,
»Czekaj, ja ci wyliczę wszystkie dni feralne
»W których gniewu Bożego leją się upusty:
»W styczniu pierwszy i drugi, piąty oraz szósty.
»W lutym trzeci i czwarty, siódmy i szesnasty,
»W marcu ósmy, dziewiąty, dziesiąty, dwunasty...
»Ale ty nie spamiętasz, spiszę ci notatkę;

http://rcin.org.pl

»A ty tylko daj słowo, że jak kochasz matkę,
»Ojca swego i dzieci, że jak kochasz żonę,
»Że we wszystkie przezemnie dni tam wyliczone
»Nic nigdy nie rozpoczniesz, czy w zimę, czy w lato.
»Zobaczysz, że mi jeszcze podziękujesz za to.
»Zresztą kuzynie, nie są to rzeczy tak błahe,
»Skoro je podał wielki mędrzec Tycho-Brahe«.
No, ale żart na stronę; nie raz się pytałem,
Słysząc podobne brednie, głoszone z zapałem,
Jak może człowiek światły, doświadczony, z wiarą,
Na równi z jakąś babą, z pod kościoła starą,
Wierzyć w podobne baśnie? — a jednakże wierzy!
Historya nam podaje władców i rycerzy,
Którym się zakrwawiona ludzkość u stóp kładła,
Którzy jednak wierzyli w gusta i widziadła...
Jedno tylko przypuszczam, że umysł człowieka,
Widząc, jak los nim igra i jak mu dopieka,
Nie chcąc wierzyć w fatalizm, a strachem pędzony,
Przy całej swej potędze wierzy w zabobony.

. . . . . .

I oto napisałem całe dziesięć wierszy
Poważnych, a jakkolwiek to nie po raz pierwszy,
Zły jestem i nie kontent. Nie lubię powagi,
Zawsze ma ona dla mnie jakiś odcień błagi,
I gdy widzę, jak często żółto-dzioba wrona,
Smarkacz-gimnazyalista małpuje Katona,
Jak młodzian, mąż, polityk, ba, nawet pajace

http://rcin.org.pl

Na udaną powagę tracą czas i pracę,
Z wrodzonej serdeczności szkodą oczywistą,
Mógłbym jeszcze na starość zostać pesymistą.

. . . . . .

Za młodu nim bywałem.
Raz, pamiętam, w szkole,
Ja i czterech kolegów, za jakąś swawolę,
Mieliśmy dostać w skórę. Była ósma rano...
Owóż, w chwili, na ławkę kiedy mnie kłaść miano,
Taki jakiś pesymizm ogarnął mnie czarny,
Taki świat mi się wydał nikczemny i marny,
Że byłbym go poszarpał i pociął na skrawki.
Ale to krótko trwało, bo ledwiem wstał z ławki,
Nie bardzo ucierpiawszy na tej poniewierce,
Taka słodycz i jasność spłynęła mi w serce,
Że choć z kolei druh mój darł się w niebogłosy,
Błogosławiłem ludzkość i jej piękne losy.
To było raz; a drugi...
Ach drugi! ach drugi!
Na wspomnienie onego łez mi płyną strugi,
Kochałem się... w kim?... hola!... dosyć że nie
[w pannie,
I tak za nią włóczyłem siebie bezustannie,
Taką minę czyniłem liryczno-żebraczą,
Tak ją nękałem łzami, gnębiłem rozpaczą,
Że aż wreszcie znudzona, czy też rozczulona,
Raz... o chwilo!... »Schyliła się w moje ramiona«...

http://rcin.org.pl

A ja... Boże mi odpuść — czy to moja cnota
Podstawiła mi nogę, honor, czy głupota,
Ja... dajmy temu pokój, to tak dawno było!
Wtedy to wybuchł u mnie z niesłychaną siłą,
Ów pesymizm piekielny, co szarpie i pali,
Obezwładnia, zniechęca, gryzie i tam dalej,
Wśród twierdzeń i zaprzeczeń targających mnó-
[stwa.
Ale, że człowiek wiecznie ma pragnienie bóstwa,
A tamtemu się nie śmiał pokazać na oczy,
Więc wkrótce sobie z *nowem*, stworzył raj uroczy,
I zapomniał.
Ach! czegoż bo nie zapomina!
Ostatnia pesymizmu mojego przyczyna
Różni się od dwóch pierwszych. Bo gdy tamte obie
Raz tylko serce moje topiły w żałobie,
Ta we mnie rozkochana ponad wyraz wszelki,
Często mnie bardzo brzydkie płatała figielki.
Był nią — brak jakiś dziwny, niewytłumaczony,
Brak od czasu do czasu mizernej mamony.
Zdaje się nic, papieru szmateczka nie duża,
A gdy pierzchnie, natychmiast niebo się zachmurza,
Dusza ludzka omdlewa, niebezpiecznie chora,
A wola, rozum, cnota, nikną jak kamfora.
I kto wie, czyli kieszeń głodna i wychudła
Głównego pesymizmu nie stanowi źródła.

. . . . . .

http://rcin.org.pl

Takim to ja bywałem dawniej pesymistą.
Dziś chwalić Boga, patrzę na świat nie tak mglisto,
I żadna pesymizmu furya mną nie miota.
Nie dlatego, ażeby dzisiejsza robota
Społecznego ustroju, być może, wspaniała,
Tak bardzo serce moje sobą zachwycała.
Ale, bogaty życiem, ręką losu bity,
Wszelkich wrażeń raz głodny, a drugi raz syty,
Wierzę, że chociaż ludzkość jest nie nazbyt cudną,
Znaleźć spokój i szczęście nie tak znowu trudno.
. . . . . .
Wprawdzie bywa, że człowiek, zwykle z własnej winy,
Pewne do zniechęcenia mieć może przyczyny,
Ale to nie jest racya; bo inna rzecz wcale,
Gdy kto własne *Ja* swoje położy na szalę,
Zważy je i na wszystkie obejrzy je strony,
I powie sobie: dosyć, już jestem znużony...
I świat, jakkolwiek piękny, męczy mnie i nudzi;
A inna, gdy kto gwałtem wmawia w bliźnich ludzi,
Że tylko głupiec pragnie, używa i żyje,
A mędrzec sobie stryczek zakłada na szyję,
Jak to Schopenhauery czynią i Hartmany.
Paradni! przypierają człowieka do ściany,
I każą mu, by minę czynił pogrzebową,
Gdy mu na Bożym świecie — zdrowo i różowo.
. . . . . .

http://rcin.org.pl

Znałem człowieka, który długie sobie lata
Studyując pesymistów, taki wstręt do świata
Uczuł w głębi swej duszy, tak stał się ponury,
Takie wokoło siebie widział czarne chmury,
Że litość nad nim brała. Aż pewnego razu,
(Szczegółów mi brakuje do tego obrazu),
Dosyć, że raz, fertyczna blondyneczka mała,
Zabrała się do niego i pocałowała.
I tak mu pocałunek on przypadł do smaku,
Że natychmiast Hartmana zawiesił na haku,
Uściskał blondyneczkę raz drugi i trzeci,
Ożenił się, w trzy lata miał pięcioro dzieci,
I był wcale szczęśliwy i w nocy, i we dnie
I mawiał: »Wiesz co, bracie, pesymizm to brednie,
»Torby sieczki nie warta paplanina pusta,
»Dokąd świat ma kobiety i ich słodkie usta,
»Pesymizm chorą tylko chyba głowę chwyta.
»Niechże ją Bóg opatrzy w swej łasce i — kwita«.
A ja zaś, rozszerzając bardziej widnokręgi,
Dodam: że pesymiści to są — niedołęgi.

. . . . . .

Kiedy ostro, to ostro, tak, to lubię właśnie,
Niech, jak mówią ostrożni, piorun *dyabła* trzaśnie!
Bo i ja, Redaktorze, powiadając szczerze,
Dla ostrożności, jestem — ostry na papierze,
A w życiu jestem sobie sługa uniżony,
Przedewszystkiem, rzecz jasna, mojej własnej żony,

http://rcin.org.pl

A że to nie jest znowu taka wielka sztuka,
Więc dodam: także córek moich trzech i wnuka,
A jeśli tego mało, to nie myśląc długo,
Kończę list i zostaję jeszcze Twoim sługą.

Lwów, październik 1893 r.

http://rcin.org.pl

XV.

Kochany Redaktorze! Grzech to jest siarczysty
Zaczynać w ten sam sposób dwa z kolei listy;
A jednak to dziś czynię, bo znów wyskoczyła
Awantura z pisania mojego niemiła.
Bo, jak w trzynastym liście zgniewałem bogacza
Delikatną uwagą, że torba żebracza
Mniej czyni satysfakcyi od torby ze złotem,
Tak w czternastym spotkałem się z nowym kłopotem:
Część płci pięknej zraziłem maleńką notatką,
Że rozsądek z blondynką w parze chodzi rzadko.
Możesz sobie wystawić, jak mnie to ukłuło,
A że mam duszę strasznie wrażliwą i czułą,
Milczeć zatem nie mogę. — Zaczynam *ab ovo*
Zapytaniem, dlaczego rzuciłem to słowo?
I zaraz odpowiadam, że... że... że sam nie wiem,
Bo serce moje równem pałało zarzewiem
Dla wszelkiego koloru, wszelkiej kobiecinki,
A nawet popielate, wiesz, *cendré*, blondynki,
Głównie memu gustowi narzuciły losy.
Wprawdzie przysłowie mówi, że niewieście włosy

http://rcin.org.pl

Niekoniecznie miewają stosunek z rozsądkiem,
Lecz przysłowie przysłowiem, a swoim porządkiem,
Ten... ten... tego... tamtego... źle z moją debatą!
Więc ją cofam i powiem krótko węzłowato:
Że napisałem głupstwo; bo wiem z doświadczenia,
Że miłe kobiecięta, wszelkiego odcienia,
Słowo honoru daję, wszelki żart na stronę:
Białe, czarne, różowe, niebieskie, zielone...
Są rozsądne i mądre, bardzo, bardzo, bardzo!
Niechże więc i blondynki swym sługą nie gardzą,
Który zawsze uczuwał dla nich cześć głęboką,
I który ich sztandary podnosił wysoko,
Chwała Bogu, żem sprawę ubił jako tako.
Nie lubię, gdy urazę ma kto do mnie jaką,
I skoro jaki robak serce mi przewierca,
Radbym go jak najprędzej precz wyrzucić z serca.
. . . . . .
Tak tedy wyrzuciwszy onego robaka,
Wesół, z czystem sumieniem, mógłbym już bez fraka,
To jest bez rękawiczek, czyli jednem słowem
Otwarcie pogawędzić o tem i o owem,
Mógłbym, ale nie mogę, albowiem się boję.
Otworzywszy szczerości na oścież podwoje,
Zamiast robaka, w serce wpełzłaby mi żmija;
A ta kotka nietylko gryzie, lecz zabija.
Trudno zatem, ażebym sam pchał się do zguby.
. . . . . .

http://rcin.org.pl

Raz, pamiętam, tak sobie, ot sposobem próby,
Dziwna jakaś odwaga naprzód mnie poniosła,
Nakreśliłem postawę i charakter osła,
Jakkolwiek bez ogródek, jednak niezbyt srogo,
I przysięgam, na myśli nie mając nikogo,
Czy ty wiesz, jakie skutki miała ta przyczyna?
Oto mężów poważnych półtora tuzina
Przeciw mnie wystąpiło z ostrym manifestem,
Krzycząc na całe gardło: »Osioł — to ja jestem«.
Jeden w moim opisie widział własne uszy,
Inny przymioty serca, jeszcze inny — duszy...
Przez cały miesiąc boży , i to dniem i nocą,
Odgrażali się na mnie, jakby było o co:
Boć przecie osioł nie jest tak wielka szkarada,
Cóż dopiero, gdy sprawa ważniejsza się nada?
Zbyt tchórzliwy nie jestem i kiedym był młody,
No, i dziś daję tego czasami dowody.
Lecz, gdy pomyślę, prawdy machając taranem,
Że mogę się napotkać z jakim wielkim panem,
Z jego bratem lub swatem, stryjenką, wujenką,
Gwałtu! kapituluję!... no i śpiewam cienko;
To jest nie wypowiadam ostatniego słowa,
Stąd i satyra moja jest zawsze — cukrowa.
Być może, że są tacy, którzy się nie boją,
Jednak porównywając ich odwagę z moją,
Nie widzę między niemi zbyt wielkiej różnicy.
I ich i mnie hamuje przestrach bladolicy,

http://rcin.org.pl

Tylko, że oni tają swoje obyczaje,
A ja się do skrupułów cokolwiek przyznaję.
Nie pozowałem nigdy i chociaż znam ludzi,
Których poważna blaga podziw we mnie budzi,
Jednakże wskutek mojej wrodzonej newrozy,
Drwię sobie równie z małej, jak i z wielkiej pozy.
Ale dość, bo refleksye osobiste nudzą.

. . . . . .

Ot lepiej ci opowiem historyjkę cudzą,
Która, sądzę, że gniewu znikąd nie wywoła,
A choć nie bardzo mądra jest — ale wesoła.
Mówią, że autentyczna, nie ręczę ci za to,
Se non è vero, zresztą, *to è ben trovato*.

. . . . . .

Młody panicz, o bardzo porządnem nazwisku,
Poznał tam gdzieś w niemieckiem jakiemś zdrojowisku
Niemca [1]). Niemiec nie słynął złotem, ni urodą,
Ale zato miał żonę przyjemną i młodą.
Szybko zawarto przyjaźń, i szara godzina
Często ich zastawała przy lampeczce wina.
Panicz Niemcowi mówił o wielkiej fortunie,
Jaką mu zostawiły ciocie i babunie,
Pałacach, jakich ludzkie nie widziało oko...
Niemiec targał czuprynę i wzdychał głęboko.
Narzekał na swe troski i na żmudną pracę...

[1]) Zdarzenie prawdziwe.

http://rcin.org.pl

Ach! mówił, jak to miło mieć piękne pałace!
Na to panicz rzekł, oczy czyniąc zamyślone:
Ach! jak to jest przyjemnie mieć przystojną żonę!
A raz, niby z niechcenia, dodał: mój kochany,
A cobyś ty powiedział na projekt zamiany?
Ja tobie dałbym pałac wspaniały w ogrodzie,
A tybyś mi odstąpił żonę — po rozwodzie.
Gdy Niemiec to usłyszał, udał, że nie słyszy,
Lecz zwolna, podumawszy wśród domowej ciszy,
Sam zaczepił panicza, naradził się z żoną,
No, i jakoś zamianę gładko ułożono,
I oto panicz z Niemcem, wesoło, z paradą,
Do Indykowa, pałac by obejrzeć jadą.
Jadą i przyjechali — prosto do pałacu,
Który, pośród zieleni, przy obszernym placu,
Rozsiadł się uroczysty, wspaniały i dumny.
Korynckie go od czoła wspierają kolumny;
A u szerokich, suto rzeźbionych podwoi
Pyszny szwajcar z buławą pozłocistą stoi.
Panicz wprowadza Niemca do swego mieszkania,
Oglądają gmach cały, służba im się kłania,
Sprowadza z honorami na samą ulicę...
Gdy za dwa dni wrócili w niemieckie granice,
Sprawa poszła piorunem — spisano umowę,
Niemiec zaraz rozpoczął kroki rozwodowe,
Była uczta rodzinna, wspaniała i miła...
Panicz zabrał Niemkinię i rzecz się skończyła.

http://rcin.org.pl

Jak im się powodziło nie moja w tem głowa,
A zaś Niemiec wyruszył znów do Indykowa,
By w rozkosznym pałacu, spokojnie, bez troski,
Pędzić resztę żywota w sposób iście boski.
Ale człowiek niczego pewnym być nie może.
Niemiec przez całą drogę w pysznym był humorze,
I przed pałac zajechał z obliczem łaskawem,
Lecz gdy chciał się wykazać do pałacu prawem,
Zaczęto się uśmiechać, bąkać to i owo,
Darmo Niemiec się gniewał, zasłaniał umową,
Przekonywał i krzyczał na wszelakie tony,
Darmo! Nareszcie został za drzwi wyrzucony.
Widząc, jaka mu grozi nieprzyjemna strata,
Udał się na policyę i do adwokata,
Który mu całkiem jasno wybił z głowy klina:
Pałac był nie panicza, lecz jego kuzyna,
A panicz miał tam tylko swe apartamenta;
Majątku zaś własnego, tak, coś, ani centa.
Usłyszawszy to, Niemiec zły i pełen sromu,
Zabrał się, wsiadł na pociąg i ruszył do domu,
Odgrażając się wściekle, jak lew rozjuszony,
Ale w domu nie zastał panicza, ni żony.
Szukał ich dwa tygodnie — no i znalazł razem,
A zgorszony do reszty ich szczęścia obrazem,
Napadł panicza srodze i w straszliwej złości
Oświadczył, że mu wszystkie chce połamać kości.
I byłby to uczynił jak najniezawodniej,

http://rcin.org.pl

Gdyby nie panicz, który przerwał mu łagodnie:
Panie Niemiec, bądź cicho, rzekł, nic się nie stało!
Natychmiast zagodzimy pięknie sprawę całą.
Nie może być pretensyi, gdzie nic nie stracone:
Nie dałem ci pałacu — oddaję ci żonę.
I na dowód, że w sercu swem nie chowa zdrady,
Drapnął, wszelkie za sobą zacierając ślady.

. . . . . .

Dalszego ciągu nie wiem, bo Niemiec z Niemkinią
Uczynili jak ludzie przyzwoici czynią:
W domowe progi skryli strapione oblicza.
Co zaś do dalszych losów miłego panicza,
Tyle powiedzieć mogę i dać na to słowo,
Że świat jego postępek osądził surowo,
Widząc w nim święte prawa swe nadwerężone,
Bo jeśli kto mężowi zbałamuci żonę,
Powinien z hardem czołem, dobywszy oręża,
Zabić albo przynajmniej okaleczyć męża.
Czyja strata — ten winien, bardzo naturalnie.

. . . . . .

Tutaj mógłbym zaczepić o publiczne pralnie
Honoru — pojedynki; ale na te tany
Nie jestem dostatecznie dziś przygotowany.
Więc niechaj pióro moje w inne sfery płynie,
Ku naszej złotej wieszczce, pani Adolfinie [1],

[1]) Zimajerowa.

http://rcin.org.pl

Która nam hojną dłonią rozlewając czary,
Rozjaśniła horyzont naszej sztuki szarej.
Wy panią Adolfinę znacie; więc nie wiele
Będę palił kadzideł; tylko się ośmielę
Zrobić jedną uwagę, przy której obstaję,
A której nie uczynił nikt, jak mi się zdaje.
Szkoda jej, gdy szanując publiczności gusta,
Musi być nieraz nadto swawolna i pusta,
Szkoda, bo jej serdeczna, subtelna liryka
Ostatni wyraz sztuki nieledwie zamyka.
Ciężkie to widać dzisiaj dla artyzmu czasy!
Kto nie zstąpi ze szczytów — ten nie zrobi kasy.

. . . . . .

Smutno! Jedyny promień jasny w życiu sztuka!
Lecz biedny, kto w uściskach jej rozkoszy szuka,
Zamiast słodkiej pieszczoty, znajdzie cierń i głogi
I musi albo zgorzknieć, albo paść wśród drogi.
Wyjątki są, lecz jeden na tysiąc się liczą,
A i te płacą laury — łzami i goryczą.

. . . . . .

Smutno dziś list mój kończę; a no, trudna rada,
Czasem i humorystę kwilenie napada.
Na przyszłość będę inny, bo wiem, jako prawie
Tyle wart jestem dla was, o ile was bawię.
A zatem padam do nóg pana Redaktora,
Bywaj zdrów jako ryba w głębinach jeziora.

Październik 1893 r.

http://rcin.org.pl

XVI.

Kochany Redaktorze! Chociaż w listopadzie
Natura, jak to mówią, do łóżka się kładzie
I w sercach ludzkich smutki kataralne ściele,
Jednakże w mojem sercu panuje wesele,
Albowiem Redaktorze, czy wiesz, co się stało?
Wygrałem sobie sprawę i to tak wspaniałą,
Że doprawdy, nie mówiąc już nic o honorze,
Możnaby ją na okaz powieźć gdzie za morze.
Początek jej był taki: dwadzieścia lat temu,
Koledze, człowiekowi bardzo porządnemu,
Przedsiębiorcy, któremu zagrażała kreda,
Dałem kilka tysięcy — na kaucyę dla żyda.
Żyd kaucyę zabezpieczył na tabuli wioski,
A zacny mój kolega, pozbywszy się troski,
Ukończył przedsiębiorstwo i po obrachunku
Z żydem, podjął interes innego gatunku.
Rzecz całkiem naturalna, jako kaucya ona,
Za kolegę przezemnie chwilowo złożona,
Powinna była, licząc choćby nader skromnie,
W ciągu jakiego roku cała wrócić do mnie.

http://rcin.org.pl

Tego zdania ja byłem, a nawet żyd bestya,
Ale co do oddania, no, to inna kwestya,
O tem żyd ani myślał. — Ubiegło dwa lata,
Ani słychu, musiałem iść do adwokata,
Tym sposobem z czystego jak szkło interesu,
Bóg wie za co i po co — przyszło do procesu.
Mój adwokat był zacnym aż do szpiku kości;
Adwokat żyda również tej samej jakości,
Więc o sprawę im nie szło, bo ta była jasna,
Natomiast tych dwóch mężów wielkich miłość własna
Tak wspaniale zabłysła nad słońca i gwiazdy,
Że świat chyba nie widział dotąd takiej jazdy.
Tutaj muszę nadmienić, jako austryacka
Procedura cywilna, jakkolwiek jest chwacka,
Wszelką ustną dyskusyę w procesach zamyka.
Stąd prawnicy, nie mogąc w ruch puszczać języka,
Tak klasyczne koziołki czynią na papierze,
Że niktby nie uwierzył.
Co do mnie — ja wierzę.
Gdy żyd otrzymał pozew i miał naznaczony
Dwudziesto-ośmiodniowy termin do obrony,
Dał go adwokatowi. Ten, z flegmą praktyka,
Wziął go i najspokojniej schował do stolika;
I dopiero w ostatniej chwili był łaskawy
Prosić sąd o *delatę* — dla zbadania sprawy.
Otrzymał ją na miesiąc i nie ruszył kroku,
Poczem dostał *delatę* drugą — na pół roku.

http://rcin.org.pl

Myśmy protestowali; i tak rok bez mała
Sprawa sobie spokojnie w sądzie zasypiała.
Nareszcie żyd się ruszył i podał do sądu
O termin dla *pozwowych załączeń przeglądu.*
A kiedy po miesiącu zaczął polemikę,
Po drugim mój adwokat posłał mu *replikę.*
W ślad zaczem nastąpiła *duplika*, *tryplika*,
Replika na *tryplikę*, wreszcie *kwadruplika*,
Każda, ma się rozumieć, z terminami zwłoki.
Wszystkie te kadrylowe tam i nazad kroki
Były czemś nakształt harców przedwstępnych, ry-
Po których zahuczała walka — jak należy. [cerzy,
Posypały się *cesye*, *inwekta*, *illaty*,
Niby race, petardy, bomby i granaty,
Z tą różnicą, że bitwa trwa dzień co najwięcej,
Gdy sądowe szmermele po kilka miesięcy,
Tak, że po czterech latach krętanina miła
Wreszcie w pierwszej instancyi, jakoś się skończyła.
. . . . . .
Skoro w instancyi drugiej zagrały armaty,
Zaczęło się, rzecz jasna, znowu od *delaty*,
Za którą pociągnęły *rubra* i *repliki*,
Z tą wszelaką odmianą, że prawem logiki,
Apelacya, rozważniej biorąc się do czynu,
Co krok to dodawała tydzień do terminu.
Z tem wszystkiem, mój adwokat tak przyspieszał
[kroku,

http://rcin.org.pl

Że wyrok uzyskałem już — w półczwarta roku,
Po czem sprawa poważnie, statecznie, pomału,
Do najwyższego sobie wpełzła trybunału.
Tu rzecz już poszła szybko; i byłaby była
W marny się rozsypała proch — żydowska siła,
Gdyby nie jej adwokat, mąż iście wspaniały,
Który genialnym rzutem, zażądał uchwały,
Orzekającej mylną kompetencyę sądu,
A to z tego ważnego w tym razie pogłądu,
Że żyd miał wioskę swoją gdzieś tam pod Krakowem.
Darmo się mój adwokat bronił tem i owem,
Nie wskórał nic. Trybunał wydał wyrok ścisły:
Zacząć sprawę *da capo* nad brzegami Wisły.
Ja już chciałem się zgodzić, by kaucya przepadła;
Lecz mego adwokata ambicya zajadła
Tak mi rzecz przedstawiła jasno i różowo,
Że po dziewięciu latach wojna szła na nowo,
A po drugich dziewięciu przeróżnych *kontaktów*
Replik, *duplik*, *kwadruplik*, *rubrycel*, *extraktów*
I tym podobnych cacek, tak samo wspaniale
Siadła sobie w najwyższym znowu trybunale.
Tym razem żyd otrzymał kardynalne cięgi,
Mianowicie, wezwany został do przysięgi,
Której wykonać nie mógł — bo by spełnił zbrodnię.
Już zacierałem ręce, gdy w tem w dwa tygodnie,
Żyd z adwokatem figiel wynaleźli gładki:
Podali, by przysięgę zastąpić przez świadki.

http://rcin.org.pl

Sąd motywy roztrząsnął, a przystawszy na nie,
Wezwał żyda, by podał świadków zamieszkanie.
Żyd zeznał, jak należy, ich stan, wiek i imię.
Jeden mieszkał w Australii, dwóch w Jerozolimie.
W tym stanie rzeczy sprawa, z tak jasną wytyczną,
Przeszła z drogi sądowej na dyplomatyczną.
Konsulowie szukali, układali noty...
Nareszcie w rok donieśli, zgodnie co do joty,
Że świadkowie czas jakiś żyli w Jokohama,
Lecz obecnie na łonie siedzą Abrahama,
Wobec czego sąd znowu wrócił do przysięgi.
Teraz adwokat żyda, chociaż prawnik tęgi,
Żadnej już kombinacyi znaleźć nie był w stanie,
Podał tylko rachunek i skończył pisanie.
Żyd przysięgi nie złożył i co zatem idzie,
Sąd prawo egzekucyi przyznał mi na żydzie.
Tak sprawa, zjadłszy dziesięć garncy atramentu
I dwieście ryz papieru, dosięgła momentu,
W którym dwudziestoletnie ustawą kręcenie.
Laurami adwokackie wieńczyło kieszenie.

. . . . . .

Taką wygrałem sprawę. Za rok, za dwa lata,
Licząc na święte słowo mego adwokata,
Zobaczę moją kaucyę!... zapewnie nie całą,
Tak okazała sprawa kosztuje niemało!
Zawsze jednak cokolwiek dostać mi się może.

. . . . . .

http://rcin.org.pl

Dlatego, jak wspominam, jestem przy humorze,
Jedno mnie tylko gryzie — możem znudził Ciebie?
Myślałem — a nuż kiedy znajdziesz się w potrzebie
Mieć jaki proces u nas — więc niema nic złego,
Gdy się dowiesz w tym względzie tego i owego.
Ostatecznie się stało — zatem trudna rada.
Sam przyznasz, że mi jakoś nie bardzo wypada
Tyle wierszy oddawać myszom na śniadanie,
Zatem, co napisałem i jak? niech zostanie.
Nadto mamy listopad i porządne błoto,
Więc i kropla humoru nie chodzi piechotą;
A, że jak ci kolego, wiadomo, niestety,
Nie mam jakoś w tej chwili koni i karety,
Więc i humoru mego tak bardzo nie mogę
Pędzić gwałtem *per pedes*, w tak daleką drogę,
Jaka miły Indyków dzieli od Warszawy.
Wybacz więc Redaktorze i bądź mi łaskawy.

. . . . . .

Jeszcze mała uwaga, miły Redaktorze!
W tem wszystkiem, com napisał wyżej o humorze,
Jest pewna kontradykcya, jakby się zdawało;
Pozwól, że ją wyjaśnię, z czasu stratą małą.
Oznajmiłem z początku mojej epistoły,
Że chociaż to listopad, ja jestem wesoły;
A w końcu, że mi trudno na błoto i słotę
Mój humor aż tam do Was pędzić na piechotę.
Owóż ta kontradykcya, tak wielka na oko,

http://rcin.org.pl

Zawiera właśnie prawdę i to dość głęboką.
Bo można być wesołym, i to bardzo szczerze,
A nie módz śmiesznych harców czynić na papierze,
I przeciwnie, mieć humor bardzo frasobliwy,
A czynić na bibule koziołki i dziwy.
Mnie nawet zasadniczo zawsze się to zdarza:
W ślad za humorem idzie wstręt do kałamarza,
A dopiero, gdy jestem kwaskowaty nieco,
Różne esy, floresy z pod pióra mi lecą.
Tak to jest; lecz gdzie leży tej rzeczy przyczyna?
Ja sądzę, że gdy na nas przychodzi godzina
Czyli to powodzenia, czyli to wesela,
Człowiek radby uścisnąć rękę przyjaciela,
Tulić miłych do serca, puścić myślom wolę,
A nie wywijać piórem, jak cepem w stodole;
Kiedy tymczasem w chwilach tęsknoty i troski,
Gdy świat nam się wydaje mniej biały i boski,
Myśl ludzka chętnie bieży w krainę ułudy,
I gdzieś tam w głębi serca, wymarzone złudy
Rada widzieć żywemi — choćby na papierze,
Stąd zamyka się w sobie i do pracy bierze.

. . . . . .

Po takiem wyjaśnieniu nic mi nie zostaje,
Jak rzucić wyobraźni fantastyczne kraje.
I jako będącemu w wybornym humorze,
Powiedzieć miły bracie i druhu: szczęść Boże
I list skończyć i ruszyć choćby do kasyna,

http://rcin.org.pl

Gdzie przeróżnej uciechy skutek i przyczyna.
Jednak tego nie zrobię — list byłby za krótki;
Stąd mogłyby wyniknąć brzydkie dla mnie skutki,
Nie tylko materyalne, ale i duchowe,
Krzywdzące moją kieszeń zarówno jak głowę.
Wolę więc, choć mój humor czyni kwaśną minę,
Kazać mu jeszcze orać — od tego nie zginę.

. . . . . .

Tem bardziej, że okazya miła mi się zdarza
Pogadać z Tobą nieco *ex re* kalendarza,
Jaki dwóch dzielnych ludzi wydało we Lwowie.
Jest to książka nie tylko piękna co się zowie,
Ale pouczająca i tak smakowita,
Że zarówno za rozum i za serce chwyta,
Zresztą znasz mnie, kadzideł tak łatwo nie palę.

. . . . . .

A teraz pisać dalej, czy nie pisać dalej?
Czekajno, niech policzę... aha, dwieście wierszy,
Upadam do nóg. Koniec.

Twój brat jak najszczerszy.

Lwów, listopad 1893 r.

http://rcin.org.pl

XVII.

Kochany Redaktorze! Jak też to czas leci,
Zdaje się tak niedawno, a już po raz trzeci
Przychodzi mi powitać w mych listach Rok Nowy!
Tym razem ani myślę łamać sobie głowy
Nad tem, co nam przyniesie; ostrzegam go tylko,
Ażeby nas nie dręczył swych kaprysów szpilką,
Jak rodzic jego stary, który jako żywo,
Mając do dyspozycyi wino, wódkę, piwo...
Wiedziony, nie wiem, skąpstwem, czy też głupią
[modą,
Dziesięć miesięcy z rzędu oblewał nas wodą.
Gdybyż przynajmniej w zamian dał nam nieco złota,
Dyabła tam, od początku do końca żywota,
Patrzał sobie spokojnie, jak chodzimy goli.
Bodajże za ten wybryk bezczelnej swawoli
I ten brak dla nas wszelkiej miłosiernej chęci,
Na wiek wieków utonął w czasu niepamięci,
I dla swego następcy nie świecił przykładem,
Który, gdyby się ważył iść tym samym ładem,
Tobym go... nie, przepraszam Jasnego Panicza,

http://rcin.org.pl

Niechaj młodocianego nie chmurzy oblicza.
Ja nie grożę, przeciwnie, ja tylko tak sobie,
Ja, ja tylko uwagę delikatną robię.
Ja błagam, tak jest, błagam, to wyraz właściwy,
Jaśnie Paniczu, Nowy Roku miłościwy,
Ja ciebie z poważaniem zaklinam głębokiem,
Racz sprawić przedewszystkiem twojem mądrem
[okiem,
Byśmy byli, uważasz, cokolwiek mniej głodni.
Wprawdzie jest wśród nas garstka syta aż do zbrodni,
Ale reszta nas chuda, chuda, bardzo chuda.
Więc jeśli w jakikolwiek sposób ci się uda
Uczynić, byśmy mieli, nie już, Boże wielki!
Sztukę mięsa, lecz choćby postne kartofelki,
To już miły roku dziewięćdziesiąt czwarty
Staniesz w naszej pamięci niczem nie zatarty.

. . . . . .

Dalej w pełnej ufności, nadziei i wierze
Zanosimy do ciebie tysiączne pacierze:
Ażebyś wiedźmę starą, obrzydłą i wściekłą,
Cholerę, zabrał sobie i rzucił gdzie w piekło.
Niech przepada do licha z swą praktyką dyablą!
Lecz to jeszcze nie wszystko:
Nie machaj ty szablą!
I nie baw się na seryo w kule i armaty!
Tu możesz śmiało wstąpić w ślady swego Taty!
Który wiedział wybornie, o ile jest głupio

http://rcin.org.pl

Gdy się ludzie nawzajem Bóg wie za co łupią,
Biją, palą, mordują, kłują i kaleczą,
I o ile jest znacznie rozsądniejszą rzeczą
Siedzieć cicho...
Na koniec moich suplikacyi
Mógłbym rzec co o ogniu, lecz nie miałbym racyi.
Bowiem prosić bez końca jest rzeczą paskudną,
A prócz tego i tobie mogłoby być nudną,
Gdybyś będąc czasami w mizernym humorze,
Nie miał czem ugryźć kogo. A no, w takiej porze,
Poigraj sobie z ogniem; choć bez tej zabawki,
Mógłbyś się obejść śmiało... ha, mamy sikawki,
Mamy asekuracye — unikniemy biedy!
I damy sobie radę jakoś...
Te są tedy
Prośby, które, o Nowy Roku! — niosę Tobie.
Więcej żadnej; co prawda, mógłbym też i sobie
Próbować co wyżebrać — ale co mi po tem?
Co ty mi zesłać możesz? Obsypiesz mnie złotem?
Obsypuj, lecz mi złoto nie jest ideałem.
Puściłbym między ludzi, jak nieraz puszczałem.
Tak Jasneńki Paniczu, mnie niewiele trzeba,
Zdrowie mam, chwalić Boga, i kawałek chleba,
Choć suchy, ale smaczny; wstrętne mi są blaski...
Jednejbym tylko chyba mógł pożądać łaski,
Od twej Jasnej Wielmożnej noworocznej Mości:
Spokojnego sumienia i ludzkiej miłości.

http://rcin.org.pl

Tego mi daj bez miary... A nie śmiej się ze mnie,
Żem jest idealistą. Śmiałbyś się daremnie,
Bo niech świat cały moim pragnieniom urąga,
Powiem, że bez nich życie — nie warte szeląga.

. . . . . .

Tak; ale cóż ja Tobie mogę dać w zamianę?
Chyba, że już Cię nudzić prośbami przestanę.
Ale gdzietam! i tego uczynić nie mogę.

. . . . . .

List już pieczętowałem, gdy mi weszły w drogę
Wspaniałe deputacye, które na pogłoski,
Że ja piszę memoryał w kwestyi ludzkiej troski,
I mam Ci go przedstawić jutrzejszym kuryerem,
Chcą, żebym Cię zapewnił o ich sercu szczerem,
I różne ich pragnienia, biedy i przykrości
Razem z mojemi podał do twej wiadomości.
No i cóż miałem robić? To są bliźni moi,
A choć w ich głowach nieraz moc bredni się roi,
Przedstawić Ci je muszę chociażby w streszczeniu.

. . . . . .

Naprzód weszły panienki, o słodkiem wejrzeniu,
I proszą Cię, byś dla nich miał kult bezustanny,
To znaczy, żeby wszystkie, gdzie jakie są panny,
Jak najprędzej szły za mąż. Zrób to, warte tego;
Daj naszej kawaleryi szturchańca tęgiego,
Niech się żeni... Od czegóż włóczy się po świecie?
Nie sztuka motylkować przy miłej kobiecie!

http://rcin.org.pl

Idź z nią, bratku, przez życie, na dobrą, złą dolę,
Umiesz z nią dzielić słodycz — dziel troski i bóle...
A może ty uważasz, że wśród społeczeństwa,
W którem byłby brak panien — a same małżeń-
[stwa,
Miłość miałaby szczupłe do manewrów pole?
A no, to w takim razie puść mężatkom wolę,
Niechaj sobie flirtują... Wprawdzie z tej okazyi
Miłość nieco podlejszej byłaby fantazyi,
No, ale to rzecz gustu... Jak to? kiepska rada?
Powiadasz, że to jakoś, może nie wypada?
Dobrze, to wniosek cofam mój, i dalej płynę.

. . . . . .

Panny mi się skarżyły ogromną godzinę;
I byłyby gadały całutki dzień Boży,
Byłem zrezygnowany...
Wtem weszli doktorzy.
Było ich trzech. Dwóch mniejszych pod wielkiego
[wodzą,
I rzekli, że się ze mną najzupełniej godzą,
I że cholery nie chcą... Nagle się zaczyna,
Nagle kończy — i pacyent płacić zapomina,
Chociaż z nim bywa mnóstwo szkaradnej roboty.
Więc proszą o reumatyzm, o nerwy, suchoty...
Które sobie spokojnie, cicho... aż do skutku
Podgryzają człowieka — ale pomalutku,
I w których pacyent miłej nadziei nie traci,

http://rcin.org.pl

Jęczy, piszczy, przeklina, stęka — ale płaci.
Czy mają racyę — nie wiem. Gadali coś jeszcze,
Lecz że mnie na myśl chorób przebiegają dreszcze,
Pożegnałem ich, rzekłszy, że mi będzie miło
Przedstawić ich życzenia...
Poczem się wtoczyło
Do mnie czterech szlachciców, kapitalnych zuchów.
Nie mieli oni dawnych, okrąglutkich brzuchów,
Ale twarz jako dawniej, szczerą i poczciwą.
Więc zaraz prosto z mostu skarżyli się żywo,
Że od lat kilku mają kłopotów bez końca,
Wiecznie zanadto wody lub zanadto słońca...
Stąd pszenica wylega, a len jest za krótki...
Tu... trąciliśmy z sobą kieliszeczek wódki...
Poczem się pokazało, że kartofle gniją,
Że grady szelmy tłuką, że pioruny biją...
No, i że naturalnie, podły rok ostatni
Do ostatecznej chyba wpędził szlachtę matni.
Trąciłem z nią raz drugi... w końcu pożegnałem,
Obiecując, że poprę i duszą i ciałem.
I rzeczywiście *Roku Nowy*, dobrodzieju,
Sądzę, że będziesz w głowie miał kapkę oleju
I sprawisz, że i nasza poczciwa kraina
Będzie miała w bród mleka i chleba i wina,
Jak tam jakaś Australia albo Ameryka.
Chcesz głodzić? — to głódź sobie Niemca lub An-
[glika.

http://rcin.org.pl

To mądrale, i rozum mają, i huk złota,
Potrafią się z każdego wygramolić błota...
. . . . . .
Za szlachtą, naturalnie, wcisnęli się żydzi.
Wiadomo, że ich kocham, no, ale Bóg widzi,
Jak zaczęli mnie szarpać, każdy z innej strony,
Tak... wyrzucić ich za drzwi byłem przymuszony.
I wolałem już nawet wysłuchać prawnika,
Który za nimi przyszedł... Zaś jego logika
Takiego wywinęła przedemną koziołka,
Że ze zdumienia omal nie spadłem ze stołka.
Na początku mi dowiódł, żeśmy dziś — ród karli,
A zakończył życzeniem, by ludzie się żarli.
Sądzę, że zbytkiem były jego postulata,
Ludzie i tak się będą żreć do końca świata.
. . . . . .
Jezus Marya! Dla Boga! A to piekło czyste!
Szewcy, krawcy, piekarze, kupcy... Jezu Chryste!
Fabrykanci, artyści, literaci, dziady...
Wszystko się do mnie wali. Chyba nie dam rady!
I postąpię, jak pewien lekarz na Podolu,
Który, gdy tłok pacyentów, niecierpliwy z bólu,
Obległ drzwi jego domu — nie puszczał we wnę-
[trze,
I tylko na balkonie stał, na pierwszem piętrze,
I skinieniem prawicy uciszywszy krzyki,
Kazał wszystkim, wprost z dołu, wyciągać języki...

http://rcin.org.pl

Poczem rzucał recepty... Poszedłem tą drogą,
Zapytałem ich z okna, co powiedzieć mogą...
Boże Ty miłosierny! — Frazesy utarte...
Pretensyjki maleńkie! — torby sieczki warte!
Któremi nie chcę nawet zawracać ci głowy.
A nawet, chcąc mieć łaskę twoją, Roku Nowy,
Radzę ci, pod sekretem, wszelkie jeremiady
Kochanych bliźnich moich, schować do szuflady.
Nie dogodzisz nikomu, chociażbyś miał chęci
Po tysiąc razy lepsze, niźli wszyscy święci.
Jedną prośbę ci tylko powtarzam — jedyną:
Ulituj się naprawdę nad naszą krainą,
Wybaw, błagam, jak dzieckiem błagałem za młodu,
»Od powietrza i ognia i wojny i głodu«...

. . . . . .

A teraz, Redaktorze, pewnieś jest ciekawy,
Dlaczego, omawiając gryzące nas sprawy,
Posyłam list do Ciebie — nie do adresata.
Dlatego, że Ty żyjesz wśród wielkiego świata
I masz wielkie stosunki wśród murów Warszawy.
Nowy Rok, to pan wielki, nie wiem, czy łaskawy,
I łatwiej Ci użyczy, niż mnie, posłuchania.
Więc skoro mu przedstawisz twe własne żądania,
I skoro wytumanisz, co tam chcesz dla siebie,
Wspomnij, bracie, nawiasem o naszej potrzebie,
I zręcznie list mój podsuń — niech go choć prze-
[czyta.

http://rcin.org.pl

Możesz skłamać, że jest to praca znakomita...
Może się nie połapie... no i rzuci może
Nam jaki ochłap szczęścia...
A co daj nam Boże!

Lwów, styczeń 1894 r.

http://rcin.org.pl

XVIII.

Kochany Redaktorze! Jeśli jeszcze żyję,
Jeśli mam całe nogi i ręce i szyję,
To łaska Opatrzności jedna to sprawiła.
W każdym razie nie nasza Autonomia miła,
Która jakkolwiek... ale całe to zdarzenie
Opiszę w przedostatniej mego listu scenie.
A tymczasem Ci powiem, jak słodko i mile
Spędziłem noworoczne i świąteczne chwile,
Zdala od Indykowa, w domu mego wnuka.
Dzielny to obywatel i buńczuczna sztuka,
Ma już rok bez tygodnia; a że jest istotą,
Która dotychczas jeszcze nie chodzi piechotą,
I wszyscy go na rękach noszą — a gdy piśnie,
Wnet na usługi każdy do niego się ciśnie,
Że więc jest familijnym bożyszczem widomem,
Słusznie dom jego ojców zowią — jego domem.
Byłem zatem u wnuka.

Tu, zahaczyć muszę
O sprawę, która może zakrwawi Ci duszę,
A przynajmniej obruszy na mnie bardzo wielu.

http://rcin.org.pl

Oto, przyznam się tobie, miły przyjacielu,
Choćbym miał za to kroczyć przez głogi i ciernie,
Że ja dzieci uwielbiam — ale bardzo miernie.
Wiem ja to doskonale, jako te maleństwa
Są chwałą i podporą przyszłą społeczeństwa,
Że bez nich, mniej lub więcej w jakie sto dwa lata,
Nastąpiłby fatalny *casus* — koniec świata,
Z całą jego sceneryą straszną i złowieszczą,
Więc winienem je lubić — dzieci — cóż gdy
[wrzeszczą!
Wrzeszczą, gdy są w pieluchach... a kiedy podrosną,
Mniej więcej z siódmą, ósmą lub dziewiątą wiosną,
Taką trącą źrebięco-cielęcą oborą,
Że człowieka o mało, że dyabli nie biorą.
Dam ci parę przykładów: jak wiesz, że ja dziatwy
Pięcioro wychowałem w sposób dosyć łatwy;
Lecz gdy sobie przypomnę, jak te niebożęta
Darły się w niebogłosy w noc, we dnie, czy święta,
Jak podobną podówczas była moja mina
Do Imci nieboszczyka pana Piotrowina,
Jak sobie to przypomnę, no to dzisiaj jeszcze
Od stóp do głowy brzydkie przechodzą mnie dreszcze.
Co do młodzi starszego cokolwieczek wieku,
Zwłaszcza lubych chłopaczków, te budzą w czło-
[wieku
Równie miłe uczucia i słodkie rozkosze.
Jedno z nich do tej chwili w sercu mojem noszę.

http://rcin.org.pl

Było to w domu zacnej Imć pani Lucyny;
Obchodzono jej męża, czy jej imieniny,
Więc zebrało się sporo babek, ciotek, matek,
Kawalerów, panienek i kilkoro dziatek.
Jak dziś widzę chłopczyka — prześliczny blondynek,
Rozpuszczone kędziory — złoty cherubinek,
Istotka niewymownie rozkoszna i miła.
Matka go łakociami z godzinę karmiła.
A kiedy ich po uszy miał już, Bogu dzięki,
Jeszcze mu kromkę chleba wcisnęła do ręki,
Chleba z masłem i miodem... Ja stałem przy stole,
Pięknym pannom puszczając piękne karambole,
Czy raczej komplementy. Jako człowiek młody,
Miałem frak granatowy, świeży, pierwszej mody,
Z złotymi guzikami; i duma i chwała
Ongi L. Iniarskiego: kosztował bez mała
Siedemdziesiąt rubelków. Owóż, głupie losy
Zrządziły, że milutki cherub złotowłosy,
Objedzony, nie mogąc przełknąć masła z miodem,
Krążył wokoło stołu, no, i mimochodem
Tłusto-słodki ów plaster wlepił mi na plecy.
Wszyscy w śmiech! a najbardziej śmiała się z tej [hecy
Mamulka cherubina — niech ją piorun trzaśnie!
Jam również się uśmiechał, choć było mi właśnie
Jak temu, który z bólem wykrzywioną twarzą
Radby zapaść się w piekło, a śmiać mu się każą.

http://rcin.org.pl

Bo niech się kto postawi wobec takiej dubli!
Nietylko licho wzięło siedemdziesiąt rubli,
Ale i frak do tego — jeszcze w karnawale,
W tygodniu, w którym miałem piknik i dwa bale!
Trudno! Z żartem na ustach, ale w sercu z płaczem,
W małą chwilkę do domu wróciłem cichaczem;
Lecz długo, długo potem, miły Redaktorze,
Gdym ujrzał na wizycie czy też na wieczorze,
Że krąży blizko jaki bęben rozhukany,
Stawałem przed nim frontem, a tyłem do ściany.
Oto skąd serce moje, czułego człowieka,
Kocha lube dzieciaki, ale tak, z daleka,
I miłych z nimi zabaw niekoniecznie szuka.

. . . . . .

A jednak ja Taś Tasia, wielbię — mego wnuka.
Nie dlatego, że mój jest, broń mnie Jezu Chryste!
Daję ci na to słowo moje uroczyste,
Ja go kocham, szanuję, uwielbiam inaczej,
Ot po prostu dlatego, że nigdy nie płacze.
Rób co chcesz, ciągnij za nos go albo za uszy,
Odbierz cacko, cukierek... nic go nie poruszy.
Skrzywi się tylko trochę, wyciągnie rączęta,
Trzaśnie cię gdzie popadnie i już nie pamięta.
Tak to lubię, to mi jest dziecko pełne wdzięku,
To też całymi dniami noszę go na ręku...
Co prawda, to go widzę raz na dwa miesiące.
Dosyć.

http://rcin.org.pl

Teraz zawracam i znowu potrącę
O te słodkie godziny, w których moje ciało
I myśl moja i serce... ach! odpoczywało,
Zdala od miejskiej wrzawy, wśród miłej rodziny.
Ach! te ciche, spokojne, rozkoszne godziny,
W których człowiek, samemu zostawiony sobie,
Może umysł pogrążyć w szczęściu czy żałobie,
I roztrząsając losy swoje od powicia,
Choćby na małą chwilkę odczuć wagę życia!
Walka społeczna piękne przynosi nam plony;
Człowiek, żądzami party, smagany, szalony,
Jako kula armatnia bez spoczynku bieży,
I bez względu na wszystko, co kocha, w co wierzy,
Szarpie się, aż zmęczony i oblany potem,
Nie skosztowawszy szczęścia — legnie gdzie pod [płotem.

. . . . . .

Niestety, szczęście moje nazbyt krótko trwało.
Pożegnałem osóbkę, Taś Tasieńka małą,
I ruszyłem na ludzkich spraw i walk arenę...
Prosto do Indykowa.
Tutaj czas na scenę,
Którą ci obiecałem powiedzieć na wstępie.
Opiszę ci ją krótko, w przyśpieszonem tempie,
Gdyż jest to awantura nie nazbyt ciekawa,
Ale że w niej poniekąd tkwi publiczna sprawa,
Zatem ruszyć ją muszę.

http://rcin.org.pl

Otóż sobie wystaw:
Że w bok od Indykowa jest błoto — Borysław,
Chciałem powiedzieć miasto — głośne w Europie,
Jako jedyne miejsce, w którem wosk się kopie.
Rzecz prosta, że przynosi olbrzymie intraty.
Obok leży Drohobycz, gród wcale bogaty.
Dwa te miasta są drogą żelazną złączone,
Która jednak posiada tę genialną stronę,
Że czcząc nasze stosunki oraz ducha czasu,
Wstrzymuje ruch w soboty — jako w dzień szabasu,
A nadto ostrożności czy też skąpstwa mocą,
Wlecze się tylko we dnie. Jeśli więc kto nocą
Przebywa ową przestrzeń, temu ręczyć mogę,
Że co najmniej ząb straci, albo złamie nogę.
Bowiem żadnej tam drogi niema i nie było.
Ja sam się tam spotkałem z niespodzianką miłą,
I wpadłem gdzieś w przerębel na wpół zamarzniętą,
Z której mnie z wielką biedą ledwie wyciągnięto,
Całkiem namoczonego; lecz szczęśliwym losem
Z rozdartem tylko futrem i z pękniętym nosem.

. . . . . .

Autonomio! widziałem wiele z łaski Boga,
Lecz żeby nie istniała jakakolwiek droga
Między dwoma miastami, w których handel kwitnie,
To, jest to rzecz zrobiona tak pięknie tak sprytnie,
Symbolizm posunięty do takiego szczytu,
Że rozum ludzki traci wszelką racyę bytu.

http://rcin.org.pl

Hańba! jak powiadają nasi politycy,
Gdy tylko się odezwą z czem ich przeciwnicy;
Bez względu, czy gadają mądrze, czy też głupio,
Hańba! wrzeszczą jak wściekli i nogami tupią...
I jabym także tupał, miły Redaktorze,
Ale że to nosowi memu nie pomoże,
Więc wołam tylko; Hańba! jakkolwiek wiem z góry,
Że to okrzyk tak głupi jest — jak mało który.
Głupi, prawda, lecz wznoszę takowy z wytyczną,
By mowa moja była — choć raz polityczną.
. . . . . .
A teraz skok uczynię na kopę mil prawie...
I oto jestem myślą w kochanej Warszawie,
Gdzie pani Eusapia, jak widzę z »Kuryera«,
Nie na żarty do waszych mózgów się dobiera.
Wprawdzie, gdy jej paluszki zbyt kontrolowano,
Drapnęła z aureolą mocno nadszarganą,
Jednak dość zostawiła swędu poza sobą.
Nie miałem przyjemności flirtu z jej osobą,
Lecz bawiłem się nie źle, czytając jak duchy
Łapały was za nosy, pukały wam w brzuchy,
Jak John King, bez tułowia, w cylindrze, obuty
W juchtowe ze sztylpami po kolana buty,
Wyciągał z pod was krzesła, stawiał je na stole,
I tym podobne mądre urządzał swawole.
Bawiłem się, bo nigdy tak cudownej szopki
Nie widziałem; jednakże te capki i hopki,

http://rcin.org.pl

Zważywszy ostateczny ich morał i skutek,
Budzą we mnie zarazem zdziwienie i smutek.
Smutek, że nasz pan Julian [1]) przez jakąś tam sapkę,
Wpadł w taką prymitywnie paskudną pułapkę.
Zdziwienie, że nauki i autoramentu
Poważnego mężowie, tyle atramentu,
Papieru i piór psują w sprawie, która nagą, —
Jak to nieraz bywało — pokaże się blagą.
Nie bawiłem się nigdy w wieszcza i proroka,
Ale nie trzeba na to proroczego oka,
By przewidzieć, że cała ta Eusapiada
Wkrótce zapaść się w ziemię sama będzie rada,
Zostawiając, jak gdyby po bachanckim balu,
Sporo po sobie wstydu, niesmaku i żalu.
Przepraszam, jeśli może uraziłem kogo,
Ale zwykłem do celu dążyć prostą drogą.
Więcej już ani pisnę — dokąd rzecz jest w toku,
Racya sama wypłynie — za rok... za pół roku...

. . . . . .

Kończę prośbą, kolego, przestań czynić hece,
Nie trzymaj moich listów miesiącami w tece,
Co może z nich uczynić bibułę pod placki.
Twój sługa uniżony —

M. Rodoć Biernacki.

[1]) Julian Ochorowicz.

Lwów, luty 1894 r.

http://rcin.org.pl

XIX.

Kochany Redaktorze! Ja człowiek spokojny
Czyliż mogłem przypuszczać, że przyjdę do wojny?
A jednak to się stało. Licho mnie skusiło
Poigrać (na papierze) z Eusapią miłą,
I wyrzec o niej, prawda, że otwarte zdanie,
Lecz jak na humorystę, dość umiarkowianie.
Aż tu pan Julian, który przez mężów nauki
Obsaczony, miast żeby rwać onych na sztuki,
Zwrócił się frontem do mnie i porwawszy lirę,
Grzmotnął nią w moją skromną, potulną satyrę,
I w poetycznej »Fraszce«, mianował mnie wołem.
Naturalnie, że mu się jakkolwiek odciąłem,
Mianując go baranem... stąd walka na noże.
Do tego rymowana! Miłosierny Boże!
Czy to dla mnie pierwszyzna? Toż ja w polemice
Nie jedną wyszczerbiłem hartowną szablicę,
Nigdy się do mych wrogów nie zwracając tyłem.
»Nie z takimi ja grałem, kiedy w Chinach byłem«.
Lecz na co? po co? za co? Czyliż ja wyrzekłem
Coś, coby damie Sapce zagrażało piekłem?

http://rcin.org.pl

Lub coby jej przyjaciół okryło żałobą?
Rzekłem, żem nie flirtował z jej godną osobą.
Czyżby pan Julian sądził, że mam te zamiary?
I zazdrość nim miotała?... Naprzód jestem stary.
Zresztą, żeby w tym względzie ubić wszelką zdradę,
Przysięgam, że do Rzymu nigdy nie pojadę.
Cóż dalej? Powiedziałem: bawiły mnie duchy,
Chwytające za nosy, pukające w brzuchy...
Jakiż w tem grzech? Powtarzam, jako mnie bawiły,
A jeśli to nie duchów sprawowały siły,
Lecz jakieś tajemnicze, potężne etery
Mediumicznej, nieznanej śmiertelnikom, sfery,
Przyznaję się do winy, ubolewam srodze,
I donny Eusapii eterycznej nodze
Składam hołd przynależny od góry do pięty.
A może też pan Julian czuje się dotknięty
I ma (jak powiadają) za to na mnie chrapkę,
Żem wyrzekł, jako popadł w paskudną pułapkę?
No to co? Czy to despekt? Niechaj mi kto powie?
Toż najwięksi rycerze, potężni wodzowie,
Zapadali w pułapkę i dopiero potem
Zasłynęli w historyi genialnym odwrotem,
Że wymienię tu tylko pana Xenofonta.
Niech więc pan Julian głowy żalem nie zaprząta,
I pomyśli wprzód, zanim weźmie się do rożna,
Że humoru tak bardzo seryo brać nie można,
Tem bardziej, żeśmy trochę poeci — koledzy,

http://rcin.org.pl

Że go kocham, a nadto mam dla jego wiedzy
Szacunek niekłamany; niechże mi dłoń poda,
Niech bratnia zapanuje między nami zgoda,
I wszystko co się stało, będzie zapomnianem,
A to, żeśmy zostali »wołem« i »baranem«,
No, to tylko wydaje nam się tak z daleka,
Zresztą bywa, że bydlę lepsze od człowieka...
. . . . . .
Miałem właśnie zdarzenie: pewien człowiek młody,
Nie tyle przyzwoitej, co dumnej urody,
Uważał za stosowne przyczepić się do mnie;
A mianowicie, raczył niekoniecznie skromnie
I w brew temu, co ludzka uświęca logika,
Obrazić się, żem nie chciał siąść z nim do bezika.
Padło kilka słów słonych, jedno gorzkie słowo,
Ja trzymałem się chłodno, młodzian gorączkowo,
Tak, że nagle odemnie, w ostatecznej akcyi,
Żądał honorowej — gwałtu! satysfakcyi!
Zrazu perswadowałem, jako jest głupotą
Sądzić, że strzelanina maże z czoła błoto,
Składałem argumenty, znane i nieznane...
Ale widząc nareszcie, że to groch o ścianę,
I nie chcąc, by mi braku formy zarzucano,
Pojedynek przyjąłem. Miał się odbyć rano
Nazajutrz w blizkim lesie. Na wszelkie warunki,
Na wszelkie broni palnej i siecznej gatunki
Przystałem bez wahania; tylko z mojej strony

http://rcin.org.pl

Postawiłem warunek jeden — niewzruszony:
A to, że ja ze względu na sens i zasadę,
Na miejsce walki w lesie wcale nie przyjadę.
Młodzieniec zrazu myślał, że to śmiech i żarty,
Ale widząc, że jestem poważnie uparty,
Oświadczył, że sam zjedzie — a nieprzyjaciela
Nie zastawszy, plac boju sromotnie ostrzela.
Na to odrzekłem: Brawo! Jeśli o to chodzi,
Wolna wola, i owszem, strzelaj pan dobrodziej,
Choćby do końca świata — przyjemnej zabawy.
A co dotyczy wstydu, paniczu łaskawy,
To jeszcze zobaczymy, kto wyjdzie na dudka.
Zresztą pozwól chwileczkę; uwaga malutka:
Zgoda, jadę do lasku, miły przyjacielu,
Możemy sobie strzelać, ale tak do celu.
Będziemy sobie mierzyć ładnie, pomalutku,
I pukać choćby razy tysiąc, aż do skutku.
Raz ktoś z nas chybić musi, owóż, miły panie,
Ten, który chybi pierwszy, zapłaci śniadanie
I prócz tego dla biednych sto florenów złoży.
Usłyszawszy to młodzian, przystojny i hoży,
Machnął ręką i poszedł. Tak się zakończyła
Awantura nietyle straszna, co nie miła.
Zresztą dość przyzwoicie; bo bez krwi rozlewu,
Bez zbytecznej fatygi, nawet i bez gniewu,
Gdyż po chwili sam młodzian śmiał się i świadkowie
Mnie zaś mały projekcik urodził się w głowie:

http://rcin.org.pl

Pewien wielki filozof, który już nie żyje,
Radził za pojedynki aplikować kije,
Jabym zaś ten obyczaj dziki karał grzywną.
Dziś, gdy świat tak się stroi gałązką oliwną,
Że rozum, serce, honor, dla garstki monety
Wszelakiej operacyi chętnie daje grzbiety,
I srogi duelista w baranka się zmieni,
Sięgnijmy tylko głębiej do jego kieszeni.

. . . . . .

Skończywszy z pojedynkiem a wprzód z Eusapią,
Widzę, że list dzisiejszy same sprzeczki trapią.
Niechże go więc już trapią do samego końca.
W teatrze, jakoś w środku przeszłego miesiąca,
Schwytałem dziennikarza, jak z wielkim zapałem
Oklaskiwał tancerkę. Gdy go zapytałem,
Czy z równem uniesieniem w łamach swej gazety,
Opisze balleriny wdzięczne piruety,
Oburzył się i odrzekł: »Co? ja o balecie?
»Mam dawać artykuły, nie, nigdy na świecie!
»Wolałbym Bóg wie jakie pisać banialuki.
»Czyż skakanie mieć może pretensye do sztuki?«
Byłem innego zdania. Rzeczywiście skoki
Kaikołomne, chociażby pod same obłoki,
Zarówno jak na skrzypcach lub na fortepianie,
Choćby najmizerniejsze palcami fikanie,
Istotą sztuki nie są; bo prawdziwa sztuka
Koniecznie pewnej miary i spokoju szuka.

http://rcin.org.pl

Tak i taniec roztaczać może istne czary,
Lecz spokojny, szlachetny — dowód — balet stary,
Po którym dzisiaj tylko tradycya została.
Posągowe, powiewne, słodkie ruchy ciała,
Dają, jak każde piękno, nam rozkosz prawdziwą,
Stąd i balet porównać można z rzeźbą żywą.

. . . . . .

Serce! »Stara historya! Jednak wiecznie nowa!«
Zmarł w tych czasach bogaty obywatel Lwowa,
I na szpital publiczny dał majątek cały.
Rzecz jasna, że gazety hymny zaśpiewały
O jego ofiarności i jego rozumie...
A jednakże, kto głębiej w rzeczy wnikać umie,
Smutne pochyli czoło. Miał dalszą rodzinę,
Ubogą i uczciwą. Małą okruszynę
Mienia swojego dzieląc, nie jeden los srogi
Mógł złagodzić; nie jednych mógł dźwignąć na nogi,
I byłby ukochany i błogosławiony.
Cóż, kiedy najstraszliwsze społeczne skorpiony:
Pycha i samolubstwo serce mu toczyły.
Jednej łzy bratniej otrzeć nie miał nigdy siły,
A po sobie fundacyę zostawił wspaniałą,
Ażeby imię jego na wieki jaśniało!
Ach! ludzkość dobroczyńców podobnych ma wiele.
Którzy za życia szerząc ból w społecznem ciele,
Kłamią, że śmierć ich da nam pod stopy aksamit,
A w rezultacie sieją zawiść i dynamit.

http://rcin.org.pl

. . . . . .

Wiem, że to, com powiedział, nie wielu przekona,
Że za zdaniem przeciwnem wystąpi obrona,
Która powie, że właśnie chwalebną jest rzeczą,
Gdy tacy, co za życia moralność kaleczą,
Okupują po śmierci grzech swego żywota.
Być może, jest w tem pewna średnio-mierna cnota.
Z tem wszystkiem, tych co lodem znaczą swoją drogę,
Bezdusznych samolubów, ja wielbić nie mogę.
Obfitszy plon, niżeli zapisów miliony,
Da jeden szeląg, w porę niedoli rzucony.

. . . . . .

Jeden szeląg! Mój Boże! kiedy się pomyśli,
Jak ludzie od kaprysów losu niezawiśli,
W najbliższem otoczeniu, niewielką ofiarą,
Mogą łatwo ból koić, tłumić niechęć szarą,
Ile jeden szlachetny poryw, uścisk bratni,
Może bliźnich nam istot wyrwać z ciężkiej matni
Występku i nieszczęścia... gdy się myśli o tem,
Widzi rozpacz i nędzę, a wory ze złotem
Pod strażą serc kamiennych — łzą wilgnie powieka,
I tylko się Bożego zmiłowania czeka...

. . . . . .

Żegnam Cię Redaktorze, i przepraszam szczerze
Za koniec listu smutny — jak grzeszne pacierze.

Lwów, marzec 1894.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

POGADANKI LWOWSKIE

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

Rozpoczynając seryę pogadanek nową,
Wiem, że chmury nad moją nagromadzę głową,
Bo mówiąc to, co uszy słyszą, widzą oczy,
Często się żart czy prawda ku takim potoczy,
Co radzi stać wśród blasku, powagi i ciszy,
Jak nietykalni święci, w katedralnej niszy.
A no trudno, cóż robić, dziej się wola Boska!
A czyli mnie gniew spotka, niełaska, czy troska,
Ja bez goryczy w sercu, pod szczerości znakiem,
Iść będę jak dotychczas raz wytkniętym szlakiem.
Bo jedynem dziś szczęściem, jakie mi zostało,
Jest pełnić obowiązek otwarcie i śmiało,
Bez względu, czy to komu miło czy nie miło,
A dumą to — że karku nie zginam przed siłą.
. . . . . .
A teraz pióro moje maszeruj do Lwowa,
Wolna droga od »Kawek« [1]), aż do »Kulparkowa« [2]).

---

[1]) Namiestnictwo.

[2]) Zakład dla obłąkanych.

http://rcin.org.pl

Wybieram punkt, gdzie błyszczy pyszny gmach [sejmowy,
Tam to co najpiękniejsze i potężne głowy,
Radziły i radziły przez siedem tygodni.
Podziwiam mężów, którzy mogą być pogodni
Po takiej ciężkiej pracy. Wprawdzie mówią ludzie
Z przekąsem o tym posłów uciążliwym trudzie;
Ja jednakże innego jestem tutaj zdania.
A co mnie imponuje i do tego skłania,
To sprawa mysia w sejmie i o niej debata,
Zakończona uchwałą: niech ją rząd załata.
I całkiem racyonalnie; rząd ma siłę zbrojną,
Teraz pokój, niech zajmie się z myszami wojną.
Chwałę zawsze sejm weźmie; on był sprawy duszą;
Więc *volens nolens* myszy liczyć się z nim muszą.
Maleńka ilustracya: wypadek był taki:
Szedłem sobie z kolegą; nagle tam, gdzie krzaki
W Jezuickim ogrodzie, przy sejmowym gmachu,
Gromadka myszy, nie wiem z wesela czy strachu,
Wypada na ulicę i w szalonym biegu,
Najkomiczniejsze harce wyprawia na śniegu.
Były to pewnie myszy. które w jakiejś dziurze
Słuchały mów sejmowych, a zwietrzywszy burzę,
Biegły z wieścią do swoich. Wtem stanęło z miotłą
Dwóch stróżów i w momencie tuzin myszy zmiotło.
Mój przyjaciel, a był to uczony statysta,
Mówi do mnie: »Człek mądry z okazyi korzysta«,

http://rcin.org.pl

Chwyta papier, ołówek, liczy i za chwilę
Powiada: »Obliczyłem, a no zgadnij ile?
»Dwóch ludzi — pół minuty — tuzin myszy trupem.
»Godzinka — prawie tysiąc śmierć zabiera łupem,
»Dzień — dwadzieścia tysięcy; miesiąc — pół
[miliona,
»Pomnóż przez stopięćdziesiąt — miliard myszy
[skona.
»Mnożę przez liczbę posłów, bo gdyby posłowie
»Zamiast ćwiczyć się w sejmie w bezpłodnej wy-
[mowie,
»Zechcieli wyjść na pole, hurmą lub parami,
»I zapolować sobie na myszy z miotłami,
»To w miesiąc, bez pomocy rządowej armaty,
»Oczyściliby z myszy najmniej dwa powiaty«.
Tak mówił mój przyjaciel. Ja zaś, jeśli kładę
Tu, ten jego rachunek, to nie jako radę
Dla posłów; cóż bo znowu! Nie, nikt nie usłyszy,
Bym ja posłom doradzał iść mordować myszy.
Ja rzecz tę dla pożytku przytaczam nauki,
Dla statystyki, pragnąc wypełnić jej luki.
Jest to więc z mojej strony grzeczność, nie ohyda.
Zresztą, wszystko się komuś kiedyś na coś przyda,
Tylko okazyi trzeba właściwej i czasu.

. . . . . .

Kończąc, o przebaczenie proszę czytelnika,
Że z wesołego zsiędę na chwilę konika,

http://rcin.org.pl

I łzą żalu się z nim podzielę. Ach! smutno!
Większość sejmowa była na tyle okrutną,
Że wychowawców ludu, tej nędzy wcielonej,
Prośbę o kawał chleba rzuciła na stronę.
Słychać, że za rok jaki prawica sejmowa,
Gdy od niej wniosek wyjdzie, zrobić coś gotowa.
Lecz czy dobrem jest, żeby koteryjne cienie
W ten sposób niechęć siały i rozgoryczenie?
Ale widać już taka konieczność dziejowa,
Że ci, których najbardziej winna boleć głowa,
By nie sycić rozpaczy — niedolą i łzami,
Ślepi — armię wywrotu rekrutują sami.

Lwów 15 lutego 1895.

http://rcin.org.pl

II.

»Kiedy się na ten świat patrzę,
Myślę, że jestem w teatrze«...

Tak w starym wodewilu jakimś mędrzec nucił,
A jabym ten kuplecik tak sobie przewrócił:

Kiedy zasiędę w teatrze,
Myślę, że na ten świat patrzę.

Rzecz jasna, że o lwowskim teatrze tu mowa,
Gdzie ulubionych naszych artystów połowa,
Nie, nie, przepraszam, wszyscy, tak społeczne życie
Przedstawiają nam pięknie, jędrnie, znakomicie,
Tak są pełni rozumu, głupstwa, cnoty, złości...
Jak gdyby byli ludźmi z ciała, krwi i kości.
Mówię to całkiem seryo, bez najmniejszej blagi.
Że wszelako publiczność nie lubi powagi,
(Żadnych powag nie znosi, nawet recenzentów,
Jakkolwiek ich powaga warta parę centów),
Więc i ja, pragnąc nieco zabawić na scenie,
Muszę ostrogę śmiechu przypiąć mojej wenie,

http://rcin.org.pl

I pisać tak, by tylko genialne umysły
Mogły sobie z mych uczuć zdać rachunek ścisły.
. . . . . .
Byłem na pewnej sztuce; sztuka to wspaniała,
Podobnej od potopu ludzkość nie widziała.
»Madame Sans-Gêne« jej tytuł. Ktoby wątpił o tem,
Niech idzie spać, bo takim ugodzę go młotem,
Że ani drgnie; po prostu, zgniotę go na masę,
Do krocset stu tysięcy! sztuka robi kasę.
A kiedy robi kasę, znak, że chodzą na nią,
A gdy chodzą i... gwałtu! chwalą, a nie ganią,
Znak, że ludek zachwyca — więc jest znakomita.
Wobec czego dyskusya ustaje i kwita.
Zresztą sama Dyrekcya, stateczna, nie płocha,
Jestem pewien, że mocno »Madame Sans-Gêne« kocha.
To wszystko rzekłem dla tych, co byli na sztuce,
Dla tych zaś, co nie byli, krótki jej szkic rzucę.
. . . . . .
Wchodzisz sobie i siadasz; wymokłe facety
Rzucają pięknym damom w lożach, przez lornety,
Swe baranie spojrzenia; ktoś sapnie, ktoś kichnie,
W tem kapelmistrz znak daje tik... tik... wszystko
[cichnie
I orkiestra retraitę trąbiąc lapidarnie,
Błogo ci przypomina *links-um* i kasarnię.
Zasłona się podnosi... spoglądasz ku górze,
I widzisz rozwieszone koszule na sznurze,

http://rcin.org.pl

A na dole trzy praczki, w spodniczkach baroko,
Pulchne, ładne, i składne, przynajmniej na oko,
Mizdrzą się, śmieją, skrzeczą, kręcą się jak frygi.
W głębi, za przepierzeniem, lud również fatygi
Nie żałuje; tam paupry, dziewczęta, żołnierze,
Biegają małym kłusem, pif!... paf!... pęc! strach
[bierze!
To tak w obywatelach Francyi dusza hula,
Rewolucya! Coûte que coûte — chcą wyrzucić króla.
Nadbiega Katarzyna, pralni właścicielka,
Istny anioł w spodnicy; ni mała, ni wielka,
W sam raz; a taka luba, a słodka, a miła!...
Znam ją dobrze, lecz taką ani mi się śniła.
Rozpuściła języczek... aj, aj, Boże wielki,
Serca wyskakiwały ludziom z kamizelki.
Spostrzegła pana Fouché!... byłaż ci gawędka!
On sensat i polityk, ona jak skra prędka,
Pcha go, by szedł do bitwy; lecz on jej tłomaczy,
Że nie jest z tych spiskowców, co są dla kartaczy,
Ale z tych, którzy innym na kule iść każą.
A mówił to z tak słodko obojętną twarzą,
Tak swe poglądy stawiał zimno, uroczyście,
Jak doświadczony kibic przy odeskim wiście.
Bądź co bądź, znakomicie; jednak Katarzyna,
Choć serdeczna, poczciwa, rozumna dziewczyna,
Drwiąc rzuciła mu w oczy: »Z taką duszą mężną
»Jak pan będziesz ministrem, to ja będę księżną«.

http://rcin.org.pl

Tymczasem lud zwyciężył — rwetes i wesele,
Do praczkarni napływa gości różnych wiele...
Opowieści, wiwaty, wielka pantomina!
Co wkrótce piękną Kasię już nudzić zaczyna.
Wyrzuca gości za drzwi, na klucz je zamyka,
A sama barwną szmatkę wziąwszy ze stolika,
Z nieopisanym wdziękiem łebek sobie stroi,
Do sierżanta Lefebvre'a, tak jest, państwo moi.
Nagle wyłazi z kąta, miłosierny Boże!
Hrabia Werther; omdlewa... zachorował może?
Nie, on ma kulę w brzuchu; a która to kula
Wlazła mu tam, gdy bronił francuskiego króla.
Więc wlecze się i słania z tak posępną miną,
Jak gdyby same duble miał, grając domino.
Kasia wie, że go czeka rozdarcie na ćwierci,
Rozczula się i gwałtem chce go wyrwać śmierci.
Myśli... a tu za drzwiami bum, bum... głos Le-
[febvre'a:
Otwórz! To ci nieszczęście! Kasię trzęsie febra.
Woła: zaraz! hrabiemu każe iść na górę.
Ten jęczy, że nie może, więc go w inną dziurę
Wpycha, do panieńskiego swego pokoiku,
I wreszcie drzwi otwiera. Wśród brzęku i krzyku
Wstępują do praczkarni trzej dzielni gwardziści,
Pod dowództwem Lefebvre'a; tak biali i czyści
Jakby nic, a mundury mają jakby z igły,
Takim winien być rycerz w męstwie niedościgły.

http://rcin.org.pl

Nie ulęknie się taki Niemca ni Francuza,
Munduru mu nie splami, nabijając guza.
Następuje flirt Kasi z zazdrosnym sierżantem,
To czułości — to sprzeczki; on się stawia kantem,
Chce iść do jej sypialni, a ona mu nie da,
On ją szarpie i wchodzi; skandal! będzie bieda.
Powraca i o dziwo! jest czuły i słodki,
Kasia mu się na szyję rzuca z miną kotki,
Całusy, przebaczenie, szlachetność... parada!
Plask, plask, nowe całusy i zasłona spada.

. . . . . .

To jest część pierwsza sztuki; druga i ostatek,
Toczy się po upływie dziewiętnastu latek,
Już za Napoleona. O Napoleonie
Gdzieś niektóry coś słyszał. Gdy usiadł na tronie,
Wnet Lefebvre'a, że bił się z werwą i zacięciem,
Zrobił marszałkiem Francyi oraz Gdańskim księciem;
Stąd Kasia Lefebrowa znalazła się księżną.
Pana Fouché, co toczył walkę bezorężną,
Zrobił księciem Otranto; nic dziwnego, Boże!
Bił świat cały, więc skoro był w dobrym humorze,
Narobił książąt, hrabiów, ba, królów nie mało,
Całą gromadę. ile mu się podobało.
Lecz wracajmy do rzeczy; jesteśmy w salonie
Księżnej Gdańskiej; po prawej i po lewej stronie,
W śroku, z boków mebelki aż kapią od złota,
Lefebrek ma monetę, więc żadna dziwota.

http://rcin.org.pl

Zresztą nie znam się na tem i najlepiej zrobię,
Gdy posłucham, jak pięknie rozmawiają sobie,
W tym salonie pan Despréaux z panem Jordinem,
Pierwszy jest metrem tańca, drugi kredens z winem
Ma pod sobą; — o księżnej rozmawiają Gdańskiej:
Jak jej całkiem turniury brak jest wielkopańskiej,
Jak prosto się wystawia, jak źle rusza nogą,
Czego wielkoświatowe damy znieść nie mogą.
A właśnie dziś bal daje, na którym królowa,
Siostra Napoleona ma być Muratowa,
Karolina i druga imieniem Eliza,
Wtem do salonu wpada, jak duch bez awiza
Księżna, a za nią wielcy mistrze tualety:
Szewc i krawiec. W tem miejscu przyznaję, niestety,
Że choćbym nieśmiertelną chciał okryć się chwałą,
Nie zdołam godnie podać, co i jak się działo.
Księżna mierzy buciki, sukienkę przebiera,
Ukazuje tors pyszny, nóżki et caetera...
Słowem staje się widok tak bosko-uroczy,
Że widzom, zwłaszcza starym, aż łyskają oczy
Ze złości naturalnie, bo księżna gdzieś w kącie,
W głębi sceny strój zmienia, zamiast stać na froncie,
Tem więcej, że okrutnie jest gładka i miła,
I przez lat dziewiętnaście nic się nie zmieniła.
Pan Despréaux ma księżnej dać lekcyę ukłonu.
Pyszny jest, jak zwyczajnie, gdy pełen rezonu
Fika nogami; księżna również dzielnie fika.

http://rcin.org.pl

Wtem zjawia się marszałek. Pan Despréaux znika.
Książę marszałek gorzki. Wiesz, mówi do żony,
Że cesarz twoim brakiem szyku jest zgorszony,
Mówi, że go wystawiasz na wzgardę narodu,
I żąda, abym z tobą poszedł do rozwodu.
Słysząc to, księżna blednie; potem słodko dyga,
I mówi: do rozwodu? do rozwodu? — figa!
Jak byłam markietanką, przypomnij-no sobie,
Kto, jak ja, kochał armię, w szczęściu czy w żałobie?
Kto tak o was pamiętał, karmił łakociami?
Kto wśród kul i kartaczy bywał zawsze z wami?
Kto pielęgnował chorych, opatrywał rany?
Ruszajże do cesarza zaraz, mój kochany,
By wiedział, że nie jestem czemś tam byle jakiem!
Idź, powiedz cesarzowi, że... że... figa z makiem.
Marszałek woła: racya! czule patrzy na nią,
I prosi, by wieczorem była wielką panią.
Właśnie godzina balu tylko co wybiła.
Księżna w pysznym kostyumie; płynie gości siła.
A na czele siostrzyczki dwie Napoleona,
Jedna przykrótka, druga mocno przedłużona.
I słusznie, jest królową, więc wielką królową.
Księżna składa jej ukłon, rzuca harde słowo,
Królowa się oburza, obie stroją miny,
Tak, że w lot następuje rodzaj besztaniny,
Która trwa dziesięć minut i kończy się na tem,
Że królowa odchodzi, grożąc księżnej bratem.

http://rcin.org.pl

Wśród tej sceny publiczność dziwi się biedaczka,
Dlaczego księżna Gdańska, Kasia, prosta praczka,
Choć bez savoir-vivre'u jest tak pełną gracyi?
Gdy mające pretensye do arystokracyi
Siostry cesarskie, oraz goście zbici w kupki,
Mówią, nie przymierzając, coś tak jak przekupki?
Mylę się, inne damy przez kłótni czas cały
Nic nie mówiły, tylko na sufit patrzały...
Przepraszam, że odbiegłem od przedmiotu nieco.
Pragnąłem bal przedłużyć, który trwał za krótko.
Bo gdy duża królowa z siostrunią malutką
Wyprowadziły z balu swe sprzeczne postacie,
Reszta dam nie została nawet na herbacie.
Źle zrobiły; dyrektor u Szkowrona z rana,
Na bal ten sześć butelek zakupił szampana.

. . . . . .

A teraz o pokorę proszę moją wenę:
Szczyt sztuki: Napoleon wychodzi na scenę.
Bóg wojny! Władca świata! Zaiste potrzeba
Wielkiej miary artyzmu, wielkiej łaski nieba,
By nie zrobić pajaca z wielkiego geniusza,
Zwłaszcza gdy ten wśród babskiej intrygi się rusza.
Chwalić Boga jednakże, Napoleon wielki
Ukazał nam się dobrze ponad wyraz wszelki.
Był jak należy dumny, poważny lub ostry,
Przedewszystkiem przywołał swe nierówne siostry,
Te wszczęły z nim wnet kłótnię. Widząc, że mu heca

http://rcin.org.pl

Zagraża, Napoleon wziął haczyk od pieca,
I tupnął, a tak groźny był i tak wspaniały,
Że mała i że duża za drzwi wyleciały.
Po nich, z wdziękiem łasiczki wbiegła marszałkowa,
Którą tu sprowadziła sprawa rozwodowa.
Jak się zachowywała i jak pięknym tonem
Swoją przeprowadziła rzecz z Napoleonem,
Długo byłoby mówić: powiem tylko tyle,
Że Napoleon zrazu pochmurny, za chwilę
Oświadczył, że z niej zacna i szlachetna żona,
I pięć razy całował jej białe ramiona.

. . . . . .

Tu właściwie powinienby być koniec sztuki,
Lecz pan Sardou dla lepszej snać widzów nauki,
Chciał oprócz serca praczki, dać jej rozum jeszcze,
I dlatego przylepił przygody złowieszcze
Pana hrabi Werthera, którego posądza
O romans z cesarzową: stąd cesarska żądza
Ażeby go rozstrzelać! Cesarz traci głowę,
Tak że nawet obudzić każe cesarzowę;
Która jednak ze wszystkich artystów szczęśliwa,
Za kulisami sobie słodko odpoczywa.
Naturalnie, że dumna i z sumieniem czystem,
Nie przyszła, tylko damę nadesłała z listem.
Sytuacyę ratuje dowcip księżnej Gdańskiej,
Hrabia Werther wywija się z niełaski pańskiej,
A pan Fouché, że prawdę schwycił okiem bystrem,

http://rcin.org.pl

Osięga cel swych życzeń — zostaje ministrem,
Wystrychnąwszy imć pana Savary na dudka.
Rzecz całą kończy wreszcie apostrofa krótka
Księcia marszałka, który woła zachwycony,
Mniej więcej tak: — że dumny jest ze swojej żony.
. . . . . .
Skończywszy, zapytuję bez żartu, sam siebie,
W jakiej ja się właściwie znalazłem potrzebie,
Ażeby się w podobnej sztuce rozmiłować?
A no tak: raz dlatego, aby skonstatować
Dzisiejszy smak publiki, a potem dlatego,
By naszego zacnego, miłego, dzielnego
Dyrektora teatru, wraz z artystów gronem,
Uczcić uznaniem szczerem, dobrze zasłużonem,
Bo aby rzecz — gdzie ledwie czego się dopuka,
Tak nam dać, jak nam dali — to zaprawdę sztuka.

Lwów 15 marca 1895.

http://rcin.org.pl

III.

Powiedziałem raz w jednej z moich pogadanek,
Gdy szło o kołomyjski polewany dzbanek,
Że w szkołach, by natchnienie wepchnąć mi do duszy
Malarskie, metr rysunku targał moje uszy.
Stąd płynie dotykalna i jasna logika,
Że mam tytuł do świętej godności krytyka,
W sprawach pędzla, ołówka, kredy albo dłuta.
Owóż bojąc się, aby barw i kształtów nuta,
Której dźwięk w mej istocie od dzieciństwa gości,
Nie zamilkła ze szkodą sztuki i ludzkości,
Mam sobie za powinność od czasu do czasu,
Na szczyt malowanego wdrapać się Parnasu;
By stamtąd, tak jak moi genialni koledzy,
Rzucać tłumowi błyski mej krytycznej wiedzy.
Szczęściem, droga nie stroma i niezbyt daleka.
Nie broni jej pies Cerber, który strasznie szczeka,
Ani smok co z paszczęki wściekłym ogniem bucha.
Adres: Numer dziesiąty — Plac świętego Ducha,
Pierwsze piętro — na lewo, a potem na prawo.
Tam to, drwiąca *Satyra* z uśmiechniętą *Sławą*,

http://rcin.org.pl

Ująwszy się pod ręce, czynią przegląd krótki
Naszych mistrzów — tym laury dając, a tym szczutki.
Ja jestem za laurami; laurów jak najwięcej!
Sto, dwieście, pięćset, tysiąc, pięćdziesiąt tysięcy!
A jeżeli-m tu przyszedł i słówko postawię,
To jedynie dlatego, by dopomódz *Sławie*,
Która w tym ukochanym przez nas Lwowian domu,
Radaby sypać blaski, ale nie wie komu.
Już ja jej dopomogę. *Sławo!* proszę ze mną.
Salon pierwszy, piaskowy — cokolwiek przyciemno,
Chcę go opuścić, ale, z żółtej terakoty
Miłosierdzie tak czule przytula sieroty,
Że mając serce z ludzkich uczuć nie wyzute,
Każę oku przystanąć choćby na minutę.
Nie wiem, czy dobrze robię, albowiem się boję,
Że fizys moja sprawi tutaj niepokoje.
Tak się stało!
Bo oto panna bez ubrania,
W kąpieli na mój widok wodą się zasłania.
A ponad miłosierdziem, szczególniejsza święta,
Z sinem gardłem, podnosi do góry rączęta...
Aż się chwieje! upadnie! z pewnością upadnie!
A to może nietylko zrobić się nie ładnie,
Ale nadto aniołkom, co na ziemi leżą,
Zgnieść noski, kołnierzyki i koszulkę świeżą;
Brudną, brudną, przepraszam. A może się mylę,
Może ta święta uczcić chce podniosłą chwilę,

http://rcin.org.pl

W której ja panią *Sławę* estetyki uczę,
I tak sobie z radości tańcuje kaczuczę?
Zlituj się! stój spokojnie! po co takie miny?
Pamiętaj, że wybierasz się do Kochawiny [1]),
A wątpię, by tam w modzie były świeckie hece.
Odwracam się... masz tobie! chłopak stoi w rzece,
Złapał okonia, ale nie patrzy na niego,
Tylko wprost na mnie; czy mu zrobiłem co złego?
Nie sądzę, by tak myślał; oczy ma nie głupie...
A!... on chce mi go sprzedać!... Nie kupię! nie
[kupię!
Ja nie jadam okoni, złap braciszku lina,
Ta uwaga na moją osobę zaczyna
Żenować mnie; tembardziej, że w oknie, w framudze
Wiszą sławni mężowie, których może nudzę.
Szczęściem, że są widocznie czem innem zajęci;
Zapewne fluksyą, jako nieco opuchnięci.
Mój Boże! Jak dyrekcya jest też nieostrożna!
Jak wielkich ludzi wieszać na przeciągach można!
Oburzony wychodzę, i wraz ze mną *Sława*,
Do głównego salonu.
Co to jest? — To trawa
Złapała nas za oczy; a jest jej tam sporo.
Trawę nasi artyści znakomicie biorą
Na pędzel, i przepysznie kładą ją na płótno.

[1]) Miejsce cudami słynące.

http://rcin.org.pl

Wprawdzie jest ona zwykle mocno bałamutną,
Podobną do wszystkiego, tylko nie do trawy,
Lecz trzeba umieć patrzeć na nią, trzeba wprawy,
Należy zamknąć oczy, wznieść ducha ku górze,
I myślą widzieć trawę taką jak w naturze;
Jest to metoda nowa, mego wynalazku,
Jeżeli nie patentu warta — to oklasku.
Mówiłem to do *Sławy;* była w kwaśnym sosie.
Pogroziła mi tylko paluszkiem na nosie,
I wskazała krajobraz jakiegoś Hiszpana.
Patrz, rzekła, jak tam trawa jest namalowana,
Chciej polecić to twoich artystów uwadze.
I poszła.

Ja zacząłem rozmyślać o bladze.
Zawszem był jej przeciwny; lecz się przekonałem,
Że choćby kto pracował z niezmiernym zapałem,
Miał talent i pod bogów był samych opieką,
Bez odrobiny blagi nie zajdzie daleko.

. . . . . .

Byłem w pewnej pracowni, coś temu pół roku,
Artysty-m nie znał jeszcze; tylko o nim z boku —
Słyszałem, że ma talent, nawet znakomity.
Zacząłem z nim rozmowę, — stanąłem jak wryty,
Blagi, zarozumialstwa, pychy — ni kropelki.
Każdy kolega-malarz u niego jest wielki,
Godzien, by go okryto niespożytą chwałą.
O sobie ani słowa. To mnie rozgniewało.

http://rcin.org.pl

Panie, rzekłem, chcesz mistrzem być, lub choć mi-
[strzykiem,
Musisz machać mniej pędzlem — a więcej języ-
[kiem.
Dam ci na to dowody... Schylił tylko głowę,
I na inne przedmioty skierował rozmowę.
Uznania się dobije — talent wszystko zmoże,
Lecz ile czasu straci — to pożal cię Boże!
. . . . . .
Kiedy tak rozmyślałem, usłyszałem szmery
W saloniku ostatnim, tam osób trzy, cztery,
Stało przed głową dziecka... dziecko ma dwa maki
Olbrzymie za uszami... Co za pomysł taki?
Szeptano, co to znaczy?... To znaczy, panowie,
Zawołałem, że dziecko to ma wodę w głowie.
Jest ona wielka, ale patrzy zbyt wesoło,
Więc artysta jej maki wsadził aż na czoło,
Symbol snu — że powinna patrzeć nieco mglisto.
To się nazywa w sztuce bywać — symbolistą.
Rzecz piękna. — Patrzmy na tę twarz tu obok,
[na tę,
Bez kwestyi ma przedstawiać ona marynatę.
O ileżby artysta lepiej wybrnął z roli,
Gdyby ją był upiększył skrawkami fasoli,
Groszku, rydzów, marchewki w paseczki pociętej...
Wtedyby w symbolizmie był niedoścignięty.
Chciałem wykładać dalej, ale że zbyt wiele

http://rcin.org.pl

Gromadziło się ludzi, było to w niedzielę,
A ja w skromności mojej nie znoszę natłoku.
Więc zamilkłem i sobie stanąłem na boku,
By poszukać obrazów, jakie zagranica
Produkuje i znawców onymi zachwyca.
Nadaremnie! Podobnych u nas ani śladu.
Opiszę jeden z takich choćby dla przykładu:
Noc — miasteczko, domostwa na wpół rozwalone...
Latarnia światło rzuca żółtawo-czerwone...
W głębi coś nakształt płotów, kamieni, czy ludzi...
Przypuśćmy, że się widok taki wreszcie znudzi,
Żądasz czegoś takiego, co igra z nerwami,
Bierzesz obraz, przewracasz do góry nogami,
I masz to właśnie, czego pragnie twoja dusza:
Wspaniały, pełen grozy — wybuch Wezuwiusza.
Tak to artyzm potrafi wyjść ręką obronną
W razie konfliktu z modą; — sztuka jest wszech-
[stronną,
Kiedyś może i u nas będzie traktowaną
Sztuka w podobny sposób; wtedy to ustaną
Żale na chłód ogółu i gorycz krytyki.
Różne bywają smaki, gusta i guściki.
Na tem kończę dziś moją prelekcyę o sztuce,
I tylko jedno małe słóweczko dorzucę:
Sławę spotkałem wieczór w »Literackiem Kole«,
Zagląda tam czasami. Na jej wzniosłem czole

http://rcin.org.pl

Jaśniało zachwycenie. Rzekła mi do ucha,
Że wkrótce znów odwiedzi Plac Świętego Ducha,
I wawrzynów przywiezie z sobą ze dwie fury,
A więc — bracia od pędzla — Co? — Uszy do
[góry!

Lwów 15 kwietnia 1895.

http://rcin.org.pl

IV.

Raz, owinięty w szlafrok, nie mając ochoty
Ani to do zabawy, ani do roboty,
Dumałem, kto z śmiertelnych na tym bożym świecie
Jest szczęśliwy i wielki? No i co powiecie,
Po gruntownej rozwadze nabrałem pewności,
Jako esencyą, dumą, zaszczytem ludzkości
Są męże od Muzyki. Kto się tarza w złocie?
Kogo narody ciągną w karetach po błocie?
Tylko ich. Mówić o tem bez żalu nie mogę,
Bo i ja rozpocząłem życia mego drogę,
Od tej wzniosłej czynności, że zapamiętale,
Godzinami bębniłem na klawicymbale.
A choć od onych godzin sporo chwil uciekło,
Jeszcze dziś mi biegają palce z furyą wściekłą!
I pojęcia mam nieco o *Jenerał-Basie*.
Kiedy tak rozmyślałem o tym błogim czasie,
Błysnęła mi myśl w głowie: a nuż ja zawrócę
Do Muzyki i z łona mojego wyrzucę
Od lat blizko czterdziestu zamknięte tam tony?

http://rcin.org.pl

Kupa ich tam być musi!... Wesół, zachwycony,
Zasiadłem do pulpitu, i przez doby cztery
Napisałem libretto naprzód do opery,
A przez dwa dni następne onej partyturę.
Gdym, skończywszy, podziwiał jej pyszną fakturę,
Błysnęła mi myśl druga: że moja muzyka
Tak subtelnie do ucha ludzkiego przenika,
Tak dzielnie ilustruje życie mych postaci,
Że tylko zyskać może na tem, a nie straci,
Gdy libretto w kąt rzucę i w sposób odrębny,
Światu myśl moją poddam przez trąby i bębny.
Wprawdzie mówił mi jeden z artystów, mantyka,
Że pomysł mój jest dziki, albowiem muzyka
Pewne tylko wrażenia, że tak powiem, wciela,
Ogólne, jak: tęsknoty, smutku lub wesela...
Lecz by mogła powiedzieć, czy kto jest uparty,
Mądry, głupi naprzykład, to są chyba żarty...
Ja jednakże nie słuchałem zacofanych bredni.
Dobrzem zrobił. Stworzyłem utwór niepowszedni,
Oryginalny, wielki! Moje arcydzieło
Jednakże, choć we Lwowie początek swój wzięło,
Posłałem za granicę; bo tam krótsza meta
Jest do nieśmiertelności, a no i moneta.
Kolegom zaś, by żalu nie żywili do mnie,
Opiszę, co mój geniusz stworzył wiekopomnie,
Tem więcej, że ich kocham, szanuję i cenię.

. . . . . .

http://rcin.org.pl

Tytuł: »Leon i Klara«, czyli »Przeznaczenie«,
Preludium Largamente, Tuba, na przemiany
Z Fagotem akord bierze, głucho markowany,
To oznacza: że Leon zasnął na kanapie,
I zwolna poświstuje nosem, oraz chrapie.
Wtedy to pierwszy skrzypek długi ton zakwili,
Ad libitum, na kwincie; bo w tej samej chwili
Drzwi skrzypnęły: wszedł expres z listem do Leona.
Ten budzi się i czyta... Tak jest, tak, to ona,
Boska Klara go wzywa. Zatem palto bierze,
I biegnie podskakując. Więc: Bębny, Talerze,
Kotły, Rogi, Oboje, Waltornie, Trombony,
Uderzą hymn zwycięstwa, *solenne*, natchniony,
A Skrzypce i Altówki w odpowiedzi na to,
Rżną jednocześnie marsza: *vivace-staccato*.
Potem pauza, bo Leon na palcach, z ostrożna,
Skrada się do drzwi Klary, inaczej nie można.
Tu następuje duet, gdzie główne momenty
Illustryą *arioso* — aż trzy instrumenty:
Klarnet, Harfa i Fagot. — Gdy z *largo-grazioso*
Fagot z Harfą przechodzą w *violente-nervoso*,
To Leon swej bogini składa serce w darze.
A zaś Harfę z Klarnetem pozostawiam Klarze,
Która mu odpowiada słodko-smętną nutą:
Con dolore, tristezza, molto-sostenuto.
Duet trwa dziesięć minut; poczem się wyłania
Intermezzo, bo trzeba dać czas do działania —

http://rcin.org.pl

Kochankom. *Intermezzo* płynie *agitato*,
Vigoroso, *pesante* i *apassionato*...
. . . . . .
Dwa uderzenia Bębna i jedno Timpani.
Deciso con fuoco. To mąż Klary pani,
Wali we drzwi i wchodzi. Wtedy Kontrabasy,
Na tle skrzypiec wskazują kłótnię i zapasy,
Angoscioso-furioso. Aż strzał z dwóch moździerzy,
Głosi jako małżonek satysfakcyę mierzy
Na grzbiecie bohatera. Jednocześnie śliczna,
Z góry na dół, *staccato* gama chromatyczna,
Znać nam daje, że Leon w świat ze schodów
[leci.
Rozlega się chór tłumu: dziady, baby, dzieci,
Tren zawodzą, a tenor trzyma Klarnet słodki:
Symbol czułego serca i ciekawej plotki.
Co pięć taktów Talerze brzęczą, boć u licha
Zawsze ktoś tam wśród tłumu kaszle albo kicha...
Zwolna, dwie Wiolonczelle i cztery Puzony
Szlą dźwięki *maestoso*. Leon przygnębiony
Maszeruje do domu, klnąc na czem świat stoi,
A co ja wyobrażam jękiem dwóch Oboi.
Nareszcie cichną chóry, marsz kończy się pianem...
Leon się uspokaja... ale mu nie danem
Było spocząć po trudach; bo ledwie że ciało
Poturbowane w bramę wnieść mu się udało,
Zmieniam siedem krzyżyków na siedem bemoli...

http://rcin.org.pl

Ukąsił go pies wściekły — koniec jego doli.
Finał. Puszczam *furioso* wszystkie instrumenta,
Znak, że ludzkość z ustroju swego niekontenta;
A chcąc tem silniej podłe napiętnować czasy,
Co dwa takty grzmot dają potężny — Grand-
[kassy,
Rzecz kończy się anielskiem Fletów *cantabile*
Na znak, że wkrótce światu błysną złote chwile.
. . . . . .
Oświadczam, że jakkolwiek mocno się starałem
Pracę moją opisać z werwą i zapałem,
Skutku nie osiągnąłem; bowiem ludzka mowa
Nie zdolna oddać tego, co w sobie Ton chowa,
Ton gdy nim manewruje mistrz *Jenerał-Basu*.
Naprzykład, ucieleśnić chcę pojęcie czasu
Pięciu sekund, nikt tego nie odczuje żywo;
Ale gdy skrzypcom każę wziąć nutę fałszywą
I trzymać ją pięć sekund, wnet serce słuchaczy
Pojmie rozmiar tej chwili. Oto co Ton znaczy.
Dzieło moje efektów ma takich miliony,
Więc dumny jestem z niego i zadowolony.
. . . . . .
Słóweczko do kolegów: jakkolwiek mozolną
Była ta praca moja — okradać mnie wolno.
Owszem, będzie to dla mnie najmilszą nagrodą
Wiedzieć jak moje myśli świat muzyczny wiodą.

http://rcin.org.pl

P. S.

W następnej kompozycyi podam mowę tonów,
Dzieje serca dwóch papug i czterech gawronów;
Bo nikt jeszcze nie wskazał ile w ptasim dziobie
Kunsztownych kombinacyi siedzi, — ja to zrobię.

Lwów 15 maja 1895 r.

http://rcin.org.pl

V.

Kochany czytelniku! Miły i łaskawy!
Przebacz, że dziś ponownie dotykam się sprawy
Mojej kandydatury na posła. Czterdzieści
I sześć wielkich adresów uroczystej treści
Otrzymałem od mężów, których polityka
Gościńce szczęśliwości krajowi wytyka,
Od Podhajec, przez Rawę aż do Łapanowa.
Ci, mojego programu rozważywszy słowa,
Godzą się z nim stanowczo, pełni uniesienia,
Proszą tylko, bym moją teoryę milczenia
Rozwinął; wagę pragną poznać mianowicie
Jaką daje milczenie zaszczepione w życie
Politycznego ciała. Pragną znać rozmiary
Wartości posła, który z ust nie puszcza pary.
Chcą znać i moje prawo. Cóż na to odpowiem?
Mógłbym węzeł rozwiązać genialnem przysłowiem:
Jako mowa jest »srebrem« a milczenie »złotem«.
Lecz, że to jest rzecz stara i każdy wie o tem,
I że niejedno z przysłów — mądrość narodowa,
Kolosalne nonsensa w łonie swojem chowa,

http://rcin.org.pl

Rzucam je i wszechwładną uwzględniając modę,
Zimną cyfrą korzyści milczenia dowiodę.
Pytam się, ilu posłów niepotrzebnie gada,
I przez jak długie chwile trwa ich miła swada?
Dajmy, że czterech tylko, pół godzinki co dnia
Prawi ni w pięć ni w dziesięć, pięknie, żadna [zbrodnia,
Dwie godziny na dobę — dziesięć tygodniowo,
A czterdzieści miesięcznie, tandem tedy owo
Milczenie, *abstrahując* od nudy i kwasu,
Podczas jednej kadencyi dwa tygodnie czasu
Daje w zysku sejmowi. Czy to bagatelka?
Zważywszy, że wśród posłów jest mężów moc wielka
Spieszących się do domu, można wyrzec śmiało,
Że milczenie jest rzeczą dzielną i wspaniałą,
I że jest obok tego subtelną słodyczą
Dla rozumnej ambicyi tych, co sobie życzą
Przed zbytkiem światła chronić swe wyznanie wiary,
Interesy, roboty, cele i zamiary...
Sądzę, że politycy wszelakich odcieni,
Mogą *exposé* mojem być zadowoleni;
Więc i ci, którzy darząc mnie swem zaufaniem,
W adresach wystąpili z drugiem zapytaniem:
»Gdzie myślę kandydować?« Boże miłosierny!
Czyliż mąż polityczny, swym zasadom wierny,
Może się zastanawiać nad tem, czy mu danem
Będzie w sejmie być wołem, kozłem czy baranem?

http://rcin.org.pl

On ma hasło, przy którem wszelkie inne bledną:
»Być posłem!« Skąd i jakim, to mu wszystko jedno.
Toż i ja będę dumny i zadowolony,
Bez względu, czy mnie pawie wybiorą czy wrony.
Bo ogarniam miłością równą wszystkie stany,
Jako człowiek stateczny, choć przyłóż do rany.
W dowód czego maleńką uwagę tu wplotę:
Że jakkolwiek być posłem mam wielką ochotę,
W razie czego nie myślę porwać się do szabli.
Wybierzecie mnie — dobrze; a nie — pal was dyabli.
Kto wie nawet, czy dla mnie nie będzie i lepiej
Gdy się manja wielkości odemnie odczepi.
Niejeden strojny w kontusz, kołpak, żółte meszty,
Siadł na sejmowej ławie i zgłupiał do reszty.
A mnie to na co? pytam: na co mi kłopoty?
Mam na swoje potrzeby dość własnej głupoty,
Po co mi jeszcze cudzej! Toby było śliczne!
Czy ja myślę senniki pisać polityczne?
Lub w jaki inny sposób tańcować na linie?
Niechże sobie moc rzeczy gdzie i jak chce płynie,
A w którąkkolwiek stronę mnie ona uniesie,
Ja w szaro bałamutnym uczuć ludzkich lesie,
Będę zawsze jednakim; to jest nie przestanę
Rzucać słów moich w serca — jako groch na ścianę.

Lwów 15 czerwca 1895.

http://rcin.org.pl

VI.

Lwowie mój ukochany! Mieścino ty boska!
Ty nie wiesz, jaka rozpacz mnie gryzie i troska!
Ja mam się rozstać z tobą, wprawdzie nie na długo,
A jednak łzy mi płyną tak obfitą strugą.
Że w twych promieniach mogłyby utworzyć tęczę,
Ja płaczę, desperuję, szlocham, klnę i jęczę!
Ja już nie będę widział przez cztery tygodnie
Twoich miłych kobietek obleczonych modnie,
Co to w balonach kryją urok białej ręki,
Uplastyczniając resztę wdzięków — Bogu dzięki.
Ja już nie będę w »Kole« grał codzień w bezika,
Nie będę się mógł cieszyć, że nam polityka
Ojców miasta oddaje teatr, że tak rzekę,
Na placu Gołuchowskich, żydom pod opiekę,
Gdzie chociaż mu przyciasno i brudno być może,
Lecz zawsze jako tako, bo mogło być gorzej,
Naprzykład na Tandecie lub na Zarwanicy...
Ja już nie będę łykał kurzu na ulicy,
Ani mnie nie doleci turkot arcymiły
Wozów, gdy te z beczkami pędzą z całej siły,

http://rcin.org.pl

I psów nie będę widział co krok kilkunastu,
Które niosą moralną tę pociechę miastu,
Że wyszczerzając zęby wołają: Człowiecze
Pamiętaj, że za tobą *madame* śmierć się wlecze
A czy to ze wścieklizny, czy z innego licha,
To jedno, milsza nawet śmierć głośna niż cicha.
Tak jest. nie będę chłonął twych uciech bez końca,
Przenajmilszy mój Lwowie! Jadę na wschód słońca,
Albo może na zachód. Dlaczego i po co?
Dyabli wiedzą, myślałem o tem dniem i nocą,
I nic nie wymyśliłem. Jednakże się zdaje,
Że zważywszy społeczne nasze obyczaje,
Wyjeżdżam, bo tak sobie życzy moja żona,
Która znów utrzymuje stanowczo, że ona
Jedzie tylko dlatego właśnie, że ja jadę.
Żart na stronę, doktorów uwzględniając radę,
Muszę opuścić miasto i rzucić się w góry,
Ażeby, popieściwszy się z łonem natury,
Dać folgę i spoczynek myślom, nerwom, sercu,
Ażeby na zielonym łąk leżeć kobiercu,
Powalać sobie majtki i ciało mizerne
Dać na pastwę milionom stworzeń, które wierne
Historycznej tradycyi, kłują, szczypią, jedzą,
Nietylko jak ja małych, lecz i mężów z wiedzą,
Wolą, ba nawet z władzą; ażeby przed bykiem
Z małodusznym umykać lękiem i okrzykiem,
A schroniwszy się wreszcie w chałupiaste progi,

http://rcin.org.pl

Z muchami bój rozpocząć zacięty i srogi;
Ażeby być budzonym w nocy przez koguty,
I niewyspany łazić dzień cały jak struty;
Ażeby za grosz własny, jak biedny kaleka
Żebrać o kawał mięsa lub o kwartę mleka;
Ażeby nie mieć cienia i chłodu w południe...
To wszystko podziałało na mnie tak przecudnie,
Że aż mi się kompletnie przewróciło w głowie.
Dopiero serce, które ugrzęzło we Lwowie,
Poczciwe moje serce, rzekło po cichutku:
Ty wiesz, jak ja Lwów kocham, a więc słuchaj dudku:
Jedź, ale nie daleko, byś każdej godziny
Mógł mnie zawieść do mojej serdecznej mieściny,
Jedź albo do Brzuchowic lub do Zimnej Wody;
Będziesz tam miał dość piasku i lasu i wody...
Nie, rzekłem, nie pojadę, znam ja te kąciki!
I tam są wściekłe muchy i rogate byki,
Rozśpiewane koguty, łechtające mrówki.
Pojadę do Lubienia albo do Maryówki,
Tam przynajmniej w dzień leżąc nad jarem, czy
[rowem,
Noc spędzę na wygodnem łóżku sprężynowem,
Albo godziny skwaru na miękkiej kanapie.
Tam, gdy cię, serce moje, tęsknota przyłapie,
Będę cię mógł befsztykiem pulchnym posilony,
Za parę szóstek zawieść w miłe lwowskie strony,
Bez obrzydłej »kolei«, co gwiżdże i syczy.

http://rcin.org.pl

A zażywszy tam kroplę niebiańskich słodyczy,
Będziemy mogli wrócić syci, ukojeni,
By znów marzyć i tęsknić wśród wonnej zieleni.
Więc jadę do Maryówki, albo do Lubienia,
Stąd przyszłą pogadankę tak pełną natchnienia
Nasmaruję, że nawet pewien krytyk przedni
Będzie mógł o niej puścić w świat pół fury bredni.

Lwów 15 lipca 1895 r.

http://rcin.org.pl

VII.

Pytałem raz starego mego przyjaciela,
Co mnie na ręku nosił, jakiem byłem dzieckiem?
Odpowiedział: »Tyś wiecznie siedział za przy-
[pieckiem,
»Byłeś mazgaj. Gdy chłopcy twoi rówieśnicy,
»Przewracali się, bili, wrzeszczeli jak dzicy,
»Ty, laleczki twej siostry układałeś w puchy,
»Włóczyłeś się za matką i bałeś się muchy.«
Mój przyjaciel powiedział prawdę; słowo w słowo;
Koledzy w szkołach biedną przezwali mnie wdową;
W teatrze na operze, gdy silniejsze tony
Dźwięczały, zatykałem uszy, przerażony,
A kiedy balet wdzięk swój roztaczał uroczy,
Ja siedziałem skulony z zamkniętemi oczy [1]).
Na komedyi, gdy śmiechem trząsł się teatr cały,
Mnie, dyabli wiedzą czego, łzy jak groch kapały.
Ba, i dotychczas kapią. A potem, a potem,
Gdy zgryzoty w pierś moją biły ciężkim młotem,

---

[1]) prawdziwe.

http://rcin.org.pl

Gdy dojrzawszy, poznałem jak okrutnie boli
Ręka ślepego losu sroga — gdy powoli
Życie mnie nauczyło, jak marną jest skarga,
Gdy sercem naszem, żal, zwątpienie targa,
Zabłysnęła mi ścieżka najmniejszego grzechu,
Ścieżka dobrodusznego z pod serca uśmiechu.
Żadnej klątwy ni żółci. To mając w pamięci,
Śmieję się, choć mi nieraz łza w oku się kręci,
Widząc jak moc piekielna serca nasze pęta.
Wiem o tem, że ludziska mają mankamenta
Tak w złości zapalone, tak srodze zażarte,
Że prędzej niźli śmiechu, pręgierza są warte.
Cóż kiedy ten instrument stracił już moc gromu.
Dowiedź najwspanialszymi morałami komu,
Że jest bez czci i wiary. Czyli go to wzruszy?
Czy choć ziarnko poprawy wrzuci mu do duszy?
Rzadko kiedy, lub nigdy! Wie on dobrze o tem,
Że jest, przypuśćmy, łotrem, oszustem, huncwotem...
Lecz że z tem wszystkiem świat mu nie cofa swej dłoni,
Więc nad twoim morałem łzy on nie uroni.
Tymczasem najspokojniej wyciągnij go z cienia,
Stań z uśmiechem litości i lekceważenia,
Daj od niechcenia szczutka w nos jego postaci,
A zobaczysz jak rezon i bezczelność straci.
Bo człowiek, pan stworzenia, dumny ze swej roli,
Sto razy raczej hyeną, niż małpą być woli.

. . . . . .

http://rcin.org.pl

Więc śmiejmy się. Tematów nie brak. Boże święty!
W Wiedniu pan X., radykał, szarpie się nadęty,
Jak balon, wypełniony cuchnącym wodorem.
Jak to się da pogodzić, nie mówię z honorem,
Lecz z prostą satysfakcyą, gdy kto ludzi zmusza
Do tego, że co zacna i uczciwa dusza,
Woła nań pogardliwie: »Radykalna wrona!«
»Piramidalne zero!« — »Lalka nakręcona!«
Tego ja nie rozumiem. Co prawda, to grosze
Złość i głupotę ludzką łagodzą potrosze,
A nasz pseudo-radykał ma mieć tego sporo,
Ale i takich panów przecież dyabli biorą.
Miejmy zatem nadzieję, że i on kark skręci.
Bo chybabyśmy byli zgoła bez pamięci,
Bez sumienia, bez wstydu; chybabyśmy byli
Jak ów pan, z swoją kliką radykalną — zgnili,
Gdybyśmy go posłali do Wiednia ze Lwowa.

. . . . . .

Skoro więc 'z onej strony nie boli nas głowa,
Możemy iść na spacer; na Hetmańskie Wały,
W krainę Izraela, gdzie wkrótce wspaniały
Ma stanąć Muz przybytek. Czy w istocie stanie?
Różne o tem po mieście obiega gadanie.
Powszechna jednak zgoda panuje na jedno:
Że rada miejska w samo utrafiła sedno,
I że w powyższej sprawie rozlepione będzie
Zaraz z wiosną, po rogach następne orędzie:

http://rcin.org.pl

»Ja, Rada miasta Lwowa, nieomylna, boska,
»Głośna od Kulparkowa po płoty Hołoska [1]),
»Po Zamarstynów, Wulkę, Pasieki, Zniesienie,
»Takie w sprawie teatru składam oświadczenie:
»Z uwagi, że ja wszystkich uczonych techników,
»Prócz swoich naturalnie, uważam za bzików;
»Z uwagi, że Wenecya marmurami lśniąca,
»Stoi twardo na wodzie już od lat tysiąca;
»Z uwagi, że i Tomasz święty przekonany
»Został, dopiero palec przytknąwszy do rany;
»Otworzyłam szkatułę, wyjęłam z niej krocie,
»Utopiłam je pięknie w nadpełtwiańskiem błocie,
»I dziś mogę już wyrzec stanowczo i śmiało,
»Że mi wszelkie trudności ubić się udało,
»Jeżeli nie wspaniale, to jednak niezgorzej:
»Teatr na Gołuchowskich Placu — stać nie może.
»Musimy iść dziurawić sobie inne strony.
»Kapitał budowlany ledwie nadgryziony,
»Starczy jeszcze dość długo na eksperymenta,
»A gdy kiedy zabraknie tam jakiego centa,
»To go dopożyczymy. Lwów jest dość bogaty,
»By mógł bawić się, w Pełtew ciskając dukaty.
»Uspokojona taką bezpieczeństwa klapą,
»Dyskusyę teatralną otwieram *da capo*.
»Powiedziałam. A komu to się nie podoba,

[1]) Wsie okoliczne Lwowa.

http://rcin.org.pl

»Niech pisze na Berdyczów«.

Tu moja osoba
Oświadcza, jako pisze co ludziska plotą.
Zatem czy to jest tombak, czy rzetelne złoto,
Nie mój grzech, nie mój honor. Stąd też nikt nie może
Za to, co powiedziałem, iść ze mną na noże.
Tembardziej, że co do mnie, to ja miejskiej Radzie
Nietylko że nie stanę wcale na zawadzie,
Nietylko że daruję utopione krocie,
Lecz do nieba ją wepchnę, jeżeli w istocie
Umknie z gmachem teatru z otoczenia Judy.
Bo, ażeby smród, śmiecie, tandeta i brudy,
Dały się stamtąd wyprzeć, jak to Rada tuszy,
To jakkolwiekbym temu rad był z całej duszy,
Jednak znając żydowski opór i kieszenie,
Wątpię czy to i trzecie ujrzy pokolenie,
Gdy generacya nasza będzie nieszczęśliwa,
Brnąć w tem błocie do śmierci.

Miła perspektywa.
Boskie tchnienie poezyi, codziennie wieczorem
Kojarzyć w głębi duszy — z żydowskim odorem.

Lwów, październik 1895 r.

http://rcin.org.pl

VIII.

Kochany czytelniku! Czy wiesz co to znaczy
Stać się łupem zwątpienia, smutku i rozpaczy?
Może wiesz, może nie wiesz; ale ja wiem o tem,
Od miesiąca te furye biją mnie jak młotem,
Budząc w mem miękkiem sercu wyrzuty surowe,
Żem dotąd pogadanki, ach listopadowej,
Na świat Boży nie wydał. Bóg świadkiem atoli,
Jako powód nie leżał w mojej nędznej woli.
Chciałem, ale nie mogłem; byłem ciężko słaby;
Na chorobę, na którą literackie draby,
Lub jeżeli kto woli, parnascy bogowie
Zapadają, a która lenistwem się zowie.
Tak jest, byłem leniwy, choć właściwie *ona*,
A nie ja, moja muza była zleniwiona.
Wywiozłem ją za miasto, na wieś, by natchnienia
Cokolwiek zaczerpnęła, a gdzie ją wspomnienia
Lat minionych opadły. Widziała kapustę,
Kartofelki, buraczki, kurki, świnki tłuste...
Przypomniała, jak niegdyś wszystkie te specyały
Były na jej rozkazy, do niej należały,

http://rcin.org.pl

Gdy dziś widzi je tylko w kupki ułożone
Na rynku i nie zawsze ma na nich — koronę.
Te i podobne snuła rozkoszne widziadła,
I wzdychała i wszystko co się wlazło, jadła.
Owóż, kiedym powrócił z nią na miejską grzędę,
I rzekł: »będziem pisali«, — odrzekła: »nie będę«;
Daremnie namawiałem i perswadowałem,
Że dzisiaj nie zła pora wystąpić z morałem,
Pisz zresztą, zawołałem, chociażby o błocie,
Osłach, kozłach, baranach... a skończ bezrobocie.
Wszystko na nic; przymknęła leniwe oczęta,
Ziewnęła i milczała dalej jak zaklęta.
Dopiero gdym napomknął, że są osobniki
Obojętne na głosy publicznej krytyki,
Które na fakta jasne, dowiedzione, twarde,
Uporem chcą okazać ogółowi wzgardę;
Muza moja nabrała drobinę ochoty,
I szepnęła mi w ucho rodzaj anegdoty —
Autentycznej:

We Lwowie, ulicą, o zmroku,
Butny czeladnik szewski szedł, nie spiesząc kroku.
Naprzeciw dążył majster; zaczem się spotkali,
I stanęli jak wryci, twarz w twarz, o pięć cali.
Ukłon, rozmowa, sprzeczka... bo majster wyrzuty
Czynił czeladnikowi, że źle uszył buty.
Ten burknął gburowato, więc nie myśląc wiele,
Majster nogę utopił w czeladniczem ciele,

http://rcin.org.pl

W okolicy kulistej, przeciwważnej głowie.
Nie wiem jak operacya ta działa na zdrowie,
Dość, że czeladnik oczy wytrzeszczył złowieszcze,
I krzyknął: »Panie majster, a no spróbuj jeszcze!«
Majster zgodził się, kopnął... »Spróbuj pan raz trzeci!«
Wrzasnął hardy czeladnik, i znów noga leci
W substancyę czeladnika; a gdy ten zażarty
Wciąż woła: »A no dalej! wal pan, wal, raz czwarty!«
Majster plunął i poszedł; miał już tego zadość.
Na twarzy czeladnika zajaśniała radość;
»A co, mruczał, majsterku, w swej własnej osobie,
»Widzisz, że ja z twej nogi nic sobie nie robię«.
I stał w pośród gawiedzi, z podniesioną głową.
Koniec bajki.

Co znaczy wydarzenie owo?
A no, że ludzie mają gusta i guściki.
Jedni, którzy na lada o ich cnocie krzyki,
Starają się poprawić; no i ostatecznie,
Jeżeli pobłądzili, przepraszają grzecznie.
Drudzy, którym się widzi, że wzrośli nad tłumy,
Gdy kopnięci — okażą upór pełen dumy.
Smacznego takim mężom życzę apetytu,
Nie brak im, swoją drogą, pewnej dozy sprytu,
Zaczerpniętej z praktyki; bom na oczy własne
Widział, jak ów czeladnik, swe oblicze jasne,
Aczkolwiek utykając, poniósł do piwiarni,
Gdzie przyjaciele jego, zieleni i czarni,

http://rcin.org.pl

Przed jego bohaterstwem padli na kolana.
A potem? — Potem nasza opinia kochana,
Kiwnie głową i ziewnie. I wszystkim jest błogo,
Tym co dają i takim którzy biorą — nogą.

. . . . . .

Wszystko mija. Toż mamy dziś błota po uszy,
Błyśnie wiosenne słońce i bagno osuszy.

Lwów 15 grudnia 1895.

http://rcin.org.pl

PUNKTUALNOŚĆ.

OBRAZEK.

We Lwowie, cnót wszelakich bezpiecznej przystani,
Żył sobie mąż i żona, to jest Pan i Pani,
Michał i Michalina. On miał lat czterdzieści,
Ona dwadzieścia cztery. Obiegały wieści,
Że się kochali bardzo; a że nadto byli
Zamożni i stateczni, uprzejmi i mili,
Więc miłość i szacunek ludzki mieli duże,
Pan Michał konsyliarzem był w rządowem biurze,
Do tego rachunkowym; toż jedynki, zera,
Balanse, kontrbalanse, salda et caetera,
Kochał jak własną żonę i jak własne dzieci,
Których co prawda nie miał, jakkolwiek rok trzeci
W myśli je numerował. Owóż więc pan Michał,
Tak się przez lat dwadzieścia cyframi opychał,
Że na zegarze życia widział cel jedyny:
Sunąć, jako wskazówka, z godzin na godziny.
Punkt siódma — debiut z łóżka, z mycia procedurą,
Punkt o ósmej — herbata, punkt dziewiąta biuro.

http://rcin.org.pl

Punkt dwunasta — przekąska; gdy biła punkt druga,
Marsz z biura na obiadek; drzemka niezbyt długa.
Punkt trzecia — dyskurs z żoną, punkt z czwartą
godziną
Przechadzka ku rogatkom; punkt piąta — kasyno.
Do szóstej — polityka; tarok — trzy godziny;
Punkt dziewiąta — do domu, na uśmiech żoniny,
I skromną kolacyjkę; w kwadrans stół się sprząta,
Powtórny dyskurs z żoną, łóżko — punkt dziesiąta.
Tak biegły stemplowane dni pana Michała;
A choć się i trafiła w nich odmiana mała,
Gdy mu wizyty psuły jego punkta lube,
Rzecz ta, jako wyjątek, nie wchodzi w rachubę.
A pani Michalina? — Pani Michalina
Była słodką jak cukier, chwiejną, jako trzcina,
I nigdy stanowczego nie miała rezonu.
Wprawdzie w samych początkach ślubnego sezonu,
Punktualność mężowska była dla niej ckliwą;
Lecz gdy się przekonała, że to jest ogniwo
Nieodzowne w łańcuchu ich małżeńskiej zgody,
Westchnęła i słuchała, jak mąż swe wywody
Kładł jej codziennie w ucho: »Michalinko moja,
»Mawiał, wierzaj mi serce, że cyfry, to zbroja,
»Która od wszelkich ciosów chroni nasze głowy.
»Naprzykład: masz uczynić krok niehonorowy,
»Dajmy na to o piątej, o czwartej, o trzeciej...
»Myślisz i zaraz wołasz: nigdy, za nic w świecie!

http://rcin.org.pl

»Toż o piątej wizyta, o czwartej przechadzka!
»Nie można; i tak ginie piekielna zasadzka.
»Tak Mińciu, puktualność czyni wielkie dziwy,
»Przez nią jestem spokojny, zdrowy i szczęśliwy.
»Ty duszko, rób to samo, skarbie mój jedyny!
»Spróbuj tylko; dzień podziel na równe godziny:
»To pończocha, to książka, to sen, to wizyta...
»Zobaczysz, jak ci szczęście do duszy zawita.
»Zobaczysz, że mi szczerze będziesz wdzięczną za to«
Słowa te, pani Mińcia wcale moderato
Zapisała w swem sercu. Lecz czy to znudzona,
Czy jako kochająca i posłuszna żona,
Poszła za radą męża, choć w części jedynie.
Codziennie, punktualnie o piątej godzinie,
Przyjmowała wizyty męskie i kobiece,
Na tak zwanych fajfklokach. Wszakże tak dalece
I to jej nie bawiło. Zrazu uczęszczany
Salon jej, zwolna nagie prezentował ściany,
Aż w końcu opustoszał faifklokowy eden,
Na placu pozostało trzech — dwóch — wreszcie jeden,
Pan sekretarz Ignacy. Był to człowiek młody;
A choć do olimpijskiej Apolla urody
Było mu dość daleko, jednak pełen siły,
Był roztropny, układny, elegancki, miły,
A luby, jak to mówią, choć przyłóż do rany.
Przez panią Michalinę uprzejmie witany,
Pojawiał się na tydzień raz, potem dwa razy,

http://rcin.org.pl

Potem trzy; a nie widząc ku sobie odrazy,
I że zresztą nie była to najmniejsza zbrodnia,
Przychodził skrupulatnie punkt o piątej co dnia.
Aż stał się poufałym przyjacielem domu;
O tyle mu to łatwiej przyszło, niźli komu,
Że był z panem Michałem współkolegą w biurze:
Wprawdzie jeden na dole, a drugi na górze
Urzędował, lecz często schodzili się z sobą.
Pan Ignacy zwał pana Michała ozdobą
Urzędniczego stanu; a gdy oprócz tego,
Wielbił jego systemat, nie było nad niego
Doradcy, przyjaciela, lepszego człowieka.
Gdy się tak uwielbiają z blizka i z daleka,
Pan Ignacy codziennie z panią Michaliną
W cudną sferę fantazyi eterycznej płyną,
Bowiem demon poezyi szarpał ich oboje.
Więc gwiazd na firmamencie podziwiali roje,
Tajemną głębię nocy, księżyca promienie,
Wieczną szczęśliwość nieba, archaniołów pienie,
Żeglujących na złoto-lazurowej fali...
A gdy już ponadziemski eter wyczerpali,
Fantazyę nieco niżej, zapuścili w chmury,
I znowu nieco niżej, na lasy i góry...
Aż wreszcie marzeniami znużeni rajskiemi,
Spojrzeli sobie w oczy i — siedli na ziemi.
I doświadczyli wkrótce, że i tu potrosze,
Są słodycze niczego i lube rozkosze.

http://rcin.org.pl

Jakie? Dajcież mi pokój! Boże mój jedyny!
Czy to ja jestem mężem pani Michaliny,
Żebym wchodził w szczegóły? Powiem tylko tyle,
Że wszystkie te anielsko-przyjacielskie chwile,
Wśród których pan Ignacy, pełen szczęścia wzdychał,
Kształtowały się w sposób, jak wskazał pan Michał.
Bo gdy ten punkt o czwartej wiódł na spacer nogi,
Pan Ignacy punkt piąta wkraczał w jego progi.
Odchodząc, gdy wskazówka punkt dziewiąta stała.
Wiedział, że to godzina jest pana Michała.
Co dalej? A to dobre! Cóżby zaś być miało?
Chyba to, że się troje przyjemnie kochało:
Pan Michał, pan Ignacy, pani Michalina,
Że raz bocian im przyniósł punkt dwunasta syna,
Że zarówno pan Michał, jak i pan Ignacy,
Byli dumni z owoców swej społecznej pracy,
Że przyjaźń ich i zgoda trwały długie lata,
Że mieli miłość ludzką i szacunek świata.

. . . . . .

Tak w pożyciu małżeńskiem, punktualność męża
Gruntuje ład domowy i nudę zwycięża.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-88 63, 26-52-31 w. 42
http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
290

http://rcin.org.pl